



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 12 września 1954 r.

Nr 37 (233) Rok V

JULIAN TUWIM

W SZESZCZDZIESIATĄ ROCZNICĘ URODZIN

W I E R S Z E

Z WIERSZY OCALAŁYCH (1936 — 1939)

Do kobiety

Wobec tego, że najdrobniejszej muszki
Nie zgłębiłem tajemnicy chodu
I z podziwem patrzę na jej nóżki,
Ja, istota człowieczego rodu;
Ani nie znam dotychczas powodu
Zakwitania na wiosnę ogrodów,
Ani Ojca mego dziejów za grobem,
Ani własnych, za życia, nie znam,
I że nie wiem, jakim sposobem
Zamieć światów kołuje gwiazdą.
A już lat mam czterdzieści cztery
I o śmierć się niedawno otarłem
(Dziwny stan, jeżeli mam być szczerzy:
Uśmiechnąłem się — głęboko — i nie umarłem);
Wobec tego, że nie odróżniam
Chwil od wieków, a mędrca od błazna —
— Bardzo proszę cię, wieczna kobieto,
Bądź mi przyjazna:
Jestem poetą.

Wyjdą z głębin ogrodów bogowie
I ten pierwszy, najsrebrniejszy, opowie
Czemu wiosną się pęk otwiera,
Czemu owad nóżkami przebiega;
Przyjdzie Ojciec mój, ze snu wyjęty,
I wyjaśni dzieje swoje bezdenne;
Do stóp moich gwiazdy padną sennie
I ułożą się w hieroglif zaklęty,
I zrozumie planetarne odmetry,
I śmierć przyjdzie jeszcze raz, już pewna,
I uśmiechem się nie wykręcę —
Wszystko jedno! Lecz ty, moja rzewna,
Moja jedna, wykochana w męce,
Usiądź przy mnie w śnieżny ranek w cukierence
I na rękach moich połóż ręce
I spojrz w oczy mi, wieczna kobieto,
I przyjazna bądź. Bądź dobra. Nic więcej.
Jestem tylko poetą. Nic więcej.

*

O, rośliny dosłowne, kwiaty wyraziste,
Kwiatność swoją bez reszty znaczące!
Motyle, malowane przez miniaturzystę
Pod mikroskopem — słońcem!

Klejnocie nad klejnoty, brylantowy sekrecie,
Kropelko rosy na liściu!
Przedziwny Synu Boży! Wszystko na naszym
świecie
Świadczy o twoim przyjściu.

Jest róża niestworzona, światu nieudzielona,
Lecz już wzbiera w duchu najsłodziej.
Przyjdzie taka godzina, że i kwiat nie wytrzyma
I zaśpiewa psalm o swej urodzie.

Wzrok

Rośnie z ziemi wyzielone,
I nazywa się rośliną.
Gdy ja mocniej wzrokiem tłoczę,
Pędzą w górę wielkie wino.

Pędzą wino uwieszone.
Jakże nie przyjść im na pomoc?
Gdy ja wzrokiem swym przyskoczę,
Wytryskuje kropłą owoc.

Gęstą kropłą uwolnioną
Z zielonego się wycina.
Gdy ja oczy w nim zjednoczę,
On rozrastać się zaczyna.

A ja czuwać, aż mu stuknie
Jego imię i godzina,
I gdy wzrokiem go obtoczę,
Już w pucharze pełno wino.

Znów przelewa się i burzy
Wielki popęd mocy żywej,
O, jak ciężko moim oczom!
Niech odpoczne, miłościwy.

A gdy zasną — sen ustami
Po jabłoni wzwyż się wspina,
A to schyla się, ochocze,
I nazywa się dziewczyna.

Z REKOPISÓW

[Rusałeczko moja wiślana]

Rusałeczko moja wiślana,
Pozwól, że na twoje kolana
Głowę skłonię.
Od miłości tak posiwały
Moje skronie.

Nic nie pytaj, bo nic nie powiem,
Tylko cichym bądź mi wezgłowiem,
Zebym usnął.
Od miłości zaniemowiły
Moje usta.

Niech w zmęczonej mojej jesieni
Twoja wiosna się rozpromieni
Snem przeźroczy.
Od miłości tak posmutniały
Moje oczy.

I ta nowa, niepomysłana,
Rusałeczko moja wiślana,
Też niech usnie.
Niech zastygnie nade mną smutny
Twój uśmiech.

Przekochałem życia trzy ćwierci,
Chcę dokochać całe, do śmierci —
Kogo? Nie wiem.
Rusałeczko moja wiślana,
Może ciebie...

Może ciebie, może nie ciebie,
Może — widzisz? — tę drzącą w niebie
Gwiazdę nad rzeczką...
I to wszystko, moja wiślana
Rusałeczko...

(1927?)

Strofy do ojczyzny

(Fragmenty)

I.

Dopatrywano się ciebie
Przez magiczne diamenty,
Ewangelie pisano
O byle jakiej potyczce,
Psalmi śpiewałaś pokutne
W Okopach Wszystkich Świętych,
Goniły cię po niebie
Teleskopy mistyczne.

A im górniej tropiono,
A im ciemniej śpiewano,
Tym śmielej cię szarpały
Otyłych szczurów hufce,
Zaprzeczano cię błaznom,
Jaśniepanom, hetmanom,
Aż cię na cmentarz przywiódł
Kościotrup w maciejówce.

A im wyżej wznoszono
Kolumny z mgły i głupoty,
A im liryczniej rżała
Wszystka, na Wschód
Tym głębiej zapadały
Piersi miejskiej biedoty.
Tym ciśniej było złotu
W kasach śląskich baronów.

2

Polsko nowej wspólnoty,
Polsko wspólnej radości,
Wietrze wiosny rodzimej,
Poznałem twoje imię!
Dzisiaj sercu i słowu
Młodziej niż za młodości,
Szczęśliwiej, niż za szczęścia,
Co moim było jedynie.

Możesz zamknąć złodzieja,
Możesz zbójcę powiesić,
Ale gorzej z demonem,
Kiedy zacznie się biesić.
Nie uwieźysz upiórów,
Nie wystrzelasz demonów,
I daremnie byś użył
Egzorcyzmów i dzwonów.
Jeden na nie egzorcyzm,
Ścisłe matematyczny:
Wykres wzrostu produkcji,
Liczby, liczby i liczby.
Jeden dzwon jest wystraszy
Stuk oskardów górniczych,
Łoskot łódzkich warsztatów,
Podzwiek kielni w stolicy.

[Na Zachód, na Południe, na Północ, na świat cały]

Na Zachód, na Południe, na Północ, na świat cały
Wiatr wiosenny roznosi poszum potężny Ogrodu.

Budzą się uciśnieni, wykleci pariasi ziemi,
Prostują się zgięte niewolą dzieci nędzy i głodu.

Wiatr olbrzymi zaszumiał — a szum jego zrozumi-
miał
Syn afrykańskiej pustyni i syn grenlandzkich
lodów.

Groźna słoneczna wichura bez wazy po świecie
hula,
Kipią archipelagi! Sto buntów! Sto pochodów!

Rozwiązują się nagle i lekko

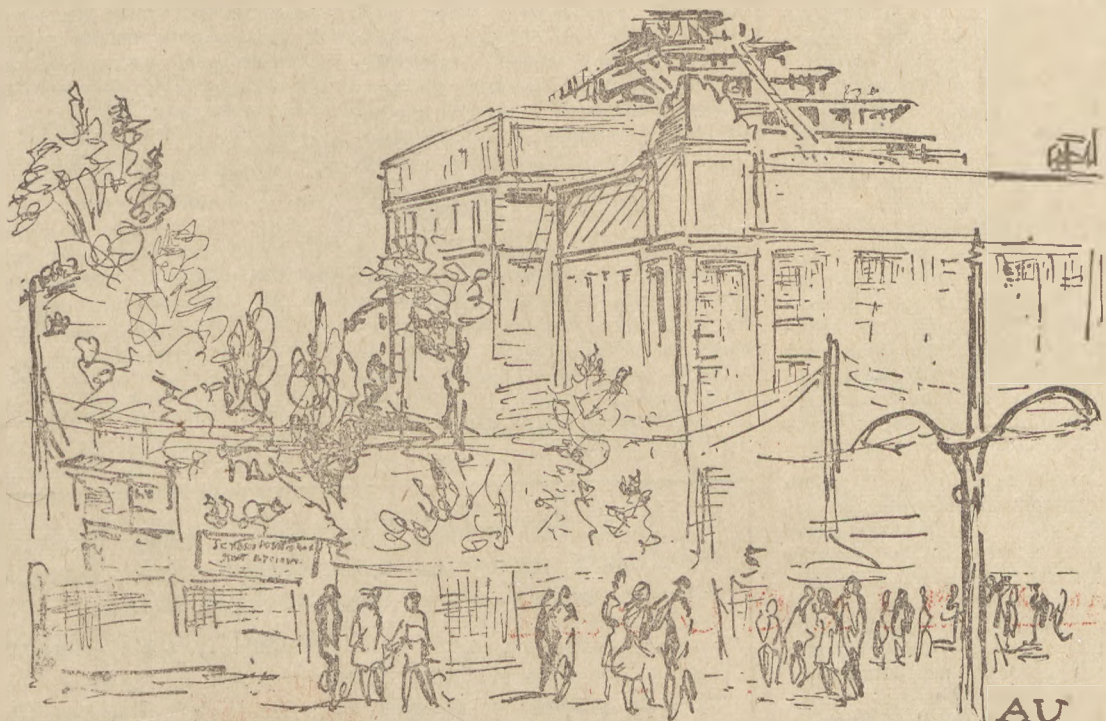
Rozwiązują się nagle i lekko,
Opadają, jak płatki kwiatów,
Groźne supły, zamówione przez piekło
U najgorszych supłomanów-wariatów.

Pętla słów kołtuniastych płatała,
Fanatycznie, na amen skręcone,
I na mokro zaciskała ze snami
W guzy, w gruzla, w garbate miliony.

I przez gardło skątkim powrozem
I przez oczy — warkoczami czarownic...
Młode pędy tyłu naszych wiosen
Uwikłali w szatańskiej sznurowni!

M O S K W A 1954

WARSZAWA 1954



Gmach SGPiS na Rakowieckiej

Rys. Antoni Uniechowski



SALOMON ŁASTIK

Refleksje pomaturalne

W artykule Romana Karsta, który zapoczątkował przed rokiem tak obfita i owocna dyskusja, uderzył mnie szczególnie ostro pewien dialog. Na pytanie egzaminującego, czy kandydatka na wydział dziennikarski nie szuka w utworze ciekawej intrygi, pięknego opisu przyrody, miłosnych przeżyć bohaterów, czy nie zachwycą jej trątność rysunku postaci, odwrocie nie piękna uczuć ludzkich itp. padła pewna siebie odpowiedź: „To jest formalizm. Wiem dobrze jak należy analizować dzieło”. Wspominał o tym, bo mogę z całą pewnością twierdzić na podstawie obserwacji tegorocznych egzaminów maturalnych, że w tym roku, takiej odpowiedzi egzaminator nie słyszy i to jest pierwszym pocieszającym i wielkiej doniosłości osiągnięciem zeszlizowanej dyskusji.

Niewiele jeszcze da się osiągnąć w tak krótkim czasie w dziedzinie zgłębiania wiedzy uczniów o literaturze, w dziedzinie samodzielnego myślenia i samodzielnego wypowiedzi o dziele sztuki, ale jedno już osiągnięto: uczniowie klas starszych wiedzą już, że doszukiwanie się walorów artystycznych, treści ludzkich, wzruszeń i piękna w dziele literackim nie jest formalizmem.

Przyznaje, że ani rezultaty egzaminów, ani charakter odpowiedzi maturzystów nie zachwycił mnie, ale świadomość, że znikła ta nieznośna subiektywna pewność siebie, pewność swojej nieomyślności, która wczoraj jeszcze rozsądzała naszą młodzież, wydaje mi się osiągnięciem nie do pogardzenia.

Przysłuchując się odpowiedziom abiturientów dwóch wielkich i dobrze postawionych szkół średnich widziałem szczerą wysiłkę ze strony egzaminowanych, by uchwycić elementy sztuki dzieła literackiego, próbę jak najbardziej wyczerpującej relacji o dziele i pisarzu, i jeżeli maturzyści najbardziej celowali w streszczanie i określaniu wymowy utworu, a nie wykazywali skłonności do samodzielnego przemyślenia, do ujęć syntetyzujących — to nie oni ponoszą za to odpowiedzialność.

O ULATWIONYM ŻYCIU I SAMODZIELNYM MYŚLENIU

Gdy przysłuchiwałem się dobrze wycyzkowanym odpowiedziom abiturientów, gnębiła mnie — przyznaję ze wstydem — jedna myśl: czy aby egzaminy naszej młodzieży nie są już zbyt ułtawione? Nie chodzi mi o podstawianie nóg uczniom, czy abiturientom, jak to miało miejsce za moich czasów. Nie! Chodzi o coś ważniejszego: aby miernikiem dobrej odpowiedzi nie było jedynie pamięciowe opanowanie materiału, ale przede wszystkim **samodzielną** wypowiedź egzaminowanego, aby nie „gładkość” odpowiedzi, lecz ujawnienie stopnia przejęcia się tematyką i problematyką danego utworu czy pisarza, o sobisty, **intymny** stosunek do dzieła i jego twórcy były miarą opanowania tematu literackiego.

Nie widzę w tym nic złego, że uczniowie już na kilka miesięcy przed egzaminami znają wszystkie tematy egzaminacyjne. Sądzę jednak, że nie jest dobrze, gdy w przygotowywaniu odpowiedzi współuczestniczą tu i ówdzie nauczyciele, a najgorzej jest to, że same tematy ograniczają ucznia do wycinanych, wąskich odpowiedzi, ograniczają temat do jednego dzieła danego pisarza, a często do jednego tylko problemu powieści. Większość z 44 pytań dla maturzystów, jak i 30 pytań dla uczniów X klas nie zawsze ma na względzie zmuszenie ucznia do samodzielnej odpowiedzi, do własnych przemyśleń, a raczej ogranicza go do rozbudowania tezy zawartej w temacie egzaminacyjnym.

Ponieważ tematy egzaminacyjne zostały sformułowane i zredagowane przez Centralny Ośrodek Doskonalenia Kadr Nauczycielskich i obowiązywały egzaminatorów w całym kraju, warto się nad nimi nieco uważnie zastanowić.

Już w pierwszym temacie egzaminacyjnym czytamy: a) Budzenie się świadomości klasowej na wsi (na podstawie znanej ci powieści Wandy Wasilewskiej). b) Scharakteryzuj poglądy szlachty postępowej i konserwatywnej w „Powrocie pła” Niemcewicza.

Pytania tego typu, a stanowią one co najmniej połowę wszystkich pytań egzaminacyjnych, nie tylko nie sprzyjają syntetyzującej odpowiedzi, nie tylko nie pobudzają do wypowiedzi o całokształcie twórczości danego pisarza, lecz na domiar złego zmuszają do wyinkownego ujęcia tego jednego utworu, którego dotyczy.

Dla uczniów jest to wielkim ułatwieniem, ale czy pożądanym?

Nie jestem praktykującym pedagogiem i trudno mi określić dokładnie wychowawczą celowość stawiania takich pytań jak: „Dojrzenie świadomości proletariatu polskiego w walce i pracy (na podstawie książki pt. „Stare i nowe” L. Rudnickiego); „Realizm krytyczny i elementy naturalizmu w „Zajacu” A. Dygasińskiego”; „Obrazki i opowiadania M. Konopnickiej wyrazem postawy poetki wobec narastających sprzeczności kapitalizmu”.

Cytuję pierwsze z brzegu tematy, by wykazać, że właściwie posiadają już one w sobie zasadniczą treść odpowiedzi. Ze wymagają one tylko udowodnienia czy poszerzenia treści pytania. Czy nie widać w tym wyraźnego oszczędzania abiturientów przed wysiłkiem myślowym? I jeszcze jedno: po co zamieszczać tematy mające za cel wyłączną negację twórczości poetki? Dotyczy to przede wszystkim „Nieboskiej komedii” Z. Krasieńskiego, a pytanie tak sformułowane obowiązywało i X i XI klasę. Mnie, na przykład, interesowałoby przede wszystkim w tym niustrowskim utworze ukazanie narastania konfliktów klasowych, ujawnienie walki rewolucyjnej, elementy realistyczne tego romantycznego dramatu politycznego, ujętego przez przedstawiciela wstecznej klasy. Zresztą — jaki jest cel w „bezsztaniu” Krasieńskiego, jeżeli się nie oceni siły wyrazu poetyckiego tego cennego, poznawczo — ważnego co „Nieboska” posiada...

Podczas egzaminów końcowych słuchałem odpowiedzi trzech abiturientów na takie oto pytania: „Życie wsi i dworu w okresie rozwoju kapitalizmu w Polsce na podstawie „Szkiców węglem” H. Sienkiewicza, „Działalność i publicystyka” P. Ściegiennego, „Obraz wsi w „Komornikach” Orkana” i „Ojczyzna pańska i ludowa w „Kordianie i Chacie” L. Kruczkowskiego”. Otóż przysłuchując się odpowiedziom zatrałem zdolność rozróżniania jednego pisarza od drugiego, gdyż wyglądało na to, że jest jakieś wyraźne podobieństwo między „Złotą księżką”, „Szkicami”, „Komornikami” i „Kordianem i Chacie”... Miałoby się wrażenie, że Sienkiewicz jest tak samo rewolucyjny jak Ściegienny, a ujęcie doli chłopca przez Orkana i Kruczkowskiego jest niemal że identyczne...

W analizie twórczości tych pisarzy, słyszało się nieodmiennie, że autor „pokazał rozwarstwienie wsi”, „walczył przeciwko przeżytkom feudalnym” itd.

Dlaczego tak się stało? Z tej prostej przyczyny, że abiturienti zgodnie z wymaganiem tematu wyłączyli „Szkice” z całokształtu twórczości autora, a **brak myśli syntetyzującej** i szerszego spojrzenia na twórczość danego autora, brak nacisku na stronę emocjonalną, artystyczną, indywidualizującą twórczość i określającą postawę ideową pisarza — skrzywia proporcje i sprawia, że tenże autor (w tym wypadku Sienkiewicz) staje się, zależnie od tematu, albo zbyt czerwony, albo zbyt odbarwiony, jeśli nie oczerniony. Że tak jest, przekonały mnie też odpowiedzi abiturientów na pytanie: „Określ stosunek Stefana Żeromskiego do sprawy wyzwolenia klasy robotniczej na podstawie „Ludzi bezdomnych”. Sam temat mówi już o przegranej autora i humanisty, który co prawda obracał się w kręgu problemów bliskich klasie robotniczej, masom ludowym, ale rozwiązanie ich było dość dalekie od słusznych założeń walki rewolucyjnej proletariatu. Nic dziwnego więc, że posypały się stwierdzenia, że „Żeromski tworzył w okresie, gdy kapitalizm przeszedł w imperiaлизм, który cechuje maksymalny wysiłek”, że „choćby Żydym sam wywodził się z proletariatu, przechodzi do klasy (!) inteligentkiej”, „Żydym twierdził, że lekarze muszą nieść pomoc klasom uciskanim”... no i że „idee Judyśka skazane są na zagładę”... Przypuszczam, że najbardziej wzruszającą w „Ludziach bezdomnych” są chyba partie powieści opisujące czy stą, wniosła miłość Judyśka do Joasi, jego wyrzeczenie się osobistego szczęścia, jego wytrwała walka w imię wywalczenia lepszych warunków pracy, warunków zdrowotnych dla biedoty warszawskiej, słowem jego głęboki humanitaryzm i patriotyzm, ale o sprawach wzruszających swoim pięknem, o poświęceniu się Judyśka dla szlachetnego celu, o jego tragizm, nie padło ani jedno słowo, bo pytanie jakby prowokowało przede wszystkim „skazanie na zagładę” utopijnych ideałów, poglądów społecznych Żeromskiego wyrażonych przez Judyśka, nie widzącego zwyckiej siły zorganizowanego w partii rewolucyjnej proletariatu. Brak syntezy, brak podkreślenia tego co najpiękniejsze i emocjonujące, co uwniosła, stawia o głowę wyżej bohatera powieści, brak podkreślenia spraw, które powinny być przykładowe dla kochającego swój naród, swój kraj obywatela, zadowalanie się pytaniami negującymi ideologię pisarza a nie ujawniającymi przede wszystkim tego co jest dodatnie i cenne w jego utworze — oto mankamenty zasadniczo wielu pytań, prowadzący do tego, że zanika osobisty, emocjonalny stosunek ucznia do pisarza i do utworu, sprawiający, że o utworach o wielkim ładunku kształcącym, wzruszającym — abiturienti mówią z beznamiętnością starych...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

ko tematy wymienionego typu. Nie! Zdarzały się też tematy, które wymagały pewnego syntetyzującego ujęcia. A więc takie, jak „Droga poetycka Juliana Tuwima, znaczenie ideowe i artystyczne jego twórczości”, „Tradycje walki narodowo-wyzwolenicznej w głównych utworach Prusa i Orzeszkowej”, „Zasługi J. I. Kraszewskiego dla literatury polskiej”, „Rok 1905 w literaturze polskiej” i inne wymagające scharakteryzowania całokształtu twórczości danego autora, czy też szerszego ujęcia problemu.

Wśród czterdziestu czterech pytań były też pytania specjalnie wymagające analizy walorów ideologicznych i artystycznych utworów, ale, niestety, za każdym razem, gdy abiturient miał odpowiedzieć na pytania wymagające analizy artystycznej, wymagające minimum wiedzy o literaturze, odpowiedź traciła na barwności, a niektóre odpowiedzi były wprost żenujące. Z chwila, gdy młodzież była zmuszona wyjść poza obręb streszczenia i cytowania, traciła grunt pod nogami, zaczynała gubić się w domysłach, zdradzała, że z „literatury-rozprawstwem” jest jeszcze na razie bardzo niedobrze.

Niestety byłam nawet pośrednim powodem bardzo ciężkiego przeżycia dla maturzysty. Odpowiedź abiturienta D. J. nie była o wiele gorsza od innych. Młodzieniec nie najęz do orłów — to pewnie, nie grzeszy też zbytnią elokwencją, ale mówił „jak trzeba”, tak jak było przyjęte w ciągu ostatnich lat. Niestety polegało na tym, że przypały mu tematy wymagające syntetycznego spojrzenia na twórczość L. Kruczkowskiego, scharakteryzowania stosunku Mickiewicza do narodu rosyjskiego na podstawie takich utworów, jak „Do przyjaciół Moskali”, wstęp do III cz. „Dziadów”, „Pan Tadeusz” i in. no i w końcu scharakteryzowanie, na znanych egzaminowanym przykładach, różnych gatunków utworów dramatycznych.

Ponieważ dyrektor danej szkoły znał mnie jako autora artykułu o programach i pamiętał, że w swoim raporcie zamieścił niektóre sloganowe wypowiedzi uczniów tejże szkoły, uważał za stosowne wymagać, by uczeń ten nie posługiwał się frazeologią i zażądał tego w formie stanowczej, obraźliwej. Nieszczęśliwcowi zaczęła drgać dolna szczęka, oczy stały się szkliste, głos urywany. Speszzył się. Na taki atak nie był przygotowany. A przecież mówił tylko mniej zgrabnie, mniej płynnie, to samo jednak co inni, nie innego. A że nie umiał wymienić nawet dwóch sztuk dramatycznych widzianych w teatrze — obciąża przecież szkołę, która, z braku czasu, nie urządza „wycieczek” do teatru...

Gdy abiturienti mówili o pisarzach, nie zapominali zaznaczyć, jaką metodą posługuje się autor. A więc: gdy maturzysta opowiada o Dickensie, twierdziła, że „stosuje on metodę realizmu krytycznego”, inna o „Na przykład Plewa” oświadczyła, że pisarz „stosuje metodę realizmu socjalistycznego”; dalej „Żeromski stosuje metodę realizmu krytycznego”, to samo Sienkiewicz, a Dygasiński „stosuje metodę naturalistyczną”. I otóż przysłuchując się charakterystyce „zastosowanej metody twórczej” odniosłem wrażenie, że jest jakieś wyraźne podobieństwo między produkcją dzieła literackiego a metodą skrawania metalu Kolesowa, czy metodą syntezy chemicznej.

Odniosłem wrażenie, że uczniowie wyobrażają sobie zbyt prymitywnie **proces twórczy**. Na podstawie zasłyszanych odpowiedzi można wnioskować, że pisarze obierają sobie jakąś „metodę produkcyjną” i zgodnie z tą metodą piszą swoje dzieła. Czy może być coś bardziej zniekształcającego, upraszczającego, zaciemniającego proces twórczy, niż taka „metodologia”?

Słyszałem też odpowiedzi na takie pytania: „scharakteryzuj epopeję i formy epickie”, „artyzm Sonetów Krymskich”, „scharakteryzuj na znanych ci przykładach różne gatunki utworów dramatycznych”, „wartości ideowe i artystyczne Ballad i Romanów A. Mickiewicza”, „cechy realizmu socjalistycznego w „Matce” Gorkiego”. Nie będzie żadną przesadą, jeżeli powiem, że nie było a n i j e d n e j odpowiedzi zadowalającej. Jedną z nauczycielek zapewniała mnie, że w tym roku dobrych odpowiedzi spodziewać się nie można, gdyż zmiana programu nastąpiła zbyt późno. Inna polonistka podeszła do tej sprawy bardziej trzeźwo. Zapytała: skąd uczniowie mają czerpać swoją wiedzę o literaturze, o jej rodzajach, gatunkach, o artyzmie? Czy tylko z tego co zapamiętał profesor ze swoich lat studenckich? A dlaczegożby nie uwzględnić elementów teorii literatury, jak to ma miejsce w podręcznikach radzieckich? Dlaczego nie ma ani jednej pracy z dziedziny estetyki marksistowskiej, która by posłużyła pedagogowi?

Czy można się więc dziwić, że realizm socjalistyczny „Pamiętki”

Newerlego w pojęciu maturzystów polega na zobrazowaniu bohatera pozytywnego, na stworzeniu postaci jakby wyjętych z życia, „nie sztucznych”? Ze „metoda naturalistyczna”, którą widzimy w „najlepszym utworze Dygasińskiego „Zajac” polega na tym, że akcja odbywa się w świecie ludzi i zwierząt”.

Pewnej maturzystce przypadł temat: „Różne pojmowanie roli poezji przez poetów Młodej Polski i współczesnych poetów Polski Ludowej”. Abiturientka wymieniła trzech poetów: Tetmajera, Broniewskiego i Ważyka. Powiedziała, że Tetmajer należał do „Młodej Polski”, która uprawiała „sztukę dla sztuki”, a Broniewski i Ważyk oddali swoją twórczość w służbę „mas ludowych”. Gdy jednak egzaminatorka zapytała co też ona rozumie pod pojęciem „sztuka dla sztuki” — uczennica, mimo naprowadzających ją pytań, nie była w stanie nic odpowiedzieć.

Dlaczego o tym piszę? Nie po to, by wykazać, że nauka literatury w szkołach nie stoi jeszcze na odpowiednim poziomie. Jest to, niestety, rzecz ogólnie znana. Chodzi mi o zasygnalizowanie czynnikiem szkolnym, że przez samo wprowadzenie tematyki zahaczającej o znawstwo literatury sprawa umiejętności rozróżniania kierunków literackich, sprawa analizy ideowo-poznawczej i artystycznej utworu, sprawa **samodzielnego myślenia** — nie zostanie rozwiązana. Konieczne jest **zmuszanie do samodzielnego myślenia**, prowokowanie do niego, rozwijanie go i naginanie ucznia do jakiejś reakcji uczuciowej i krystalizowania własnych odczuć i wrażeń doznawanych tak przy lekturze obowiązkowej, jak i nieobowiązkowej.

Jeżeli uczeń nie będzie miał dobrego, pięknie napisanego podręcznika przez autora zakochanego w wykładanym przez siebie przedmiocie, takiego podręcznika, który by pomógł do zrozumienia specyfiki celów i środków literatury jako „nauki o człowieku”, jako źródła wzniosłych idei i szlachetnych porwywów ludzkich — cel zasadniczy: jednolite nauczanie i wychowanie nie zostanie osiągnięty, a literatura pozostanie jedynie martwym przedmiotem szkolnym. Jak mało jest ona atrakcyjna w tych dwóch szkołach (a są to szkoły dobrze zorganizowane i prowadzone) świadczą fakt, że spośród kończących szkoły uczniów nie ma chętnych do studiowania polonistyki. Na ponad stu abiturientów nie znalazł się ani jeden, którego by ta dziedzina studiów zainteresowała.

A przecież słyszałem uczniów cytujących z pamięci i Majakowskiego i Mickiewicza i wydawało mi się, że zdradzali zainteresowania humanistyczne.

O czym to świadczy? Chyba o tym, że zbyt gorliwa krytyka Judyśka, „idee skazane na zagładę” doprowadziła naszą młodzież do pomniejszenia roli poświęcenia się dla umiłowanej sprawy, że młodzież nasza jest już zbyt praktyczna i trzeźwa i nieskora do wzruszeń i do romantyki, do piękna mierzenia sił na zamiary; zbyt krytycznie usposobiona do romantyzmu wezwania „miej serce i patrzaj w serce” i do tych wszystkich szlachetnych porwywów, które zawiera w sobie większość przerażających w szkołach utworów literackich. Podejście do sprawy obrania przedmiotu studiów u wielu naszych maturzystów świadczy o tym, że literatura nie spełnia jeszcze swojej zasadniczej, zaszczepnej roli inżyniera duszy, nie wpływa na kształtowanie się socjalistycznych zapatrywań i uczuć wychowanków.

✱

Piszę te dość gorzkie konstatacje z uczuciem... ulgi. Akurat w trakcie pisanego wpisu mi do ręki „Instrukcja programowa i podręcznikowa dla 11-letnich szkół ogólnokształcących na r. szk. 1954-55” i już pobieżnie wertowanie tej nowej „Instrukcji” (projektu programowego) napawa wiarą, otuchą, nadzieją, że zasygnalizowane przez dyskusję niedomagania programowe i metodologiczne zostaną usunięte. Mylnie informuje prasa, że zmiany programowe polegają tylko na skróceniu materiału, na zmianach ilościowych. W programach daje się zauważyć, że Ministerstwo Oświaty bardzo bacznie i wnikliwie obserwowało tok dyskusji i większość postulatów natury programowej i metodologicznej w swojej „Instrukcji” uwzględniło.

Aczkolwiek nowym programom i podręcznikom napisanym na jej podstawie warto będzie poświęcić osobną pracę, możemy już teraz żywić nadzieję, że nauka literatury zajmie w szkole należne jej miejsce, że przestanie być tylko przedmiotem, lecz będzie przede wszystkim źródłem natchnienia i młodzież na pięknych postaciach klasyki własnej i obcej będzie się uczyła pięknie żyć i w konsekwencji stanie się nosicielem ideałów socjalistycznych, moralności socjalistycznej.

Salomon Lastik

MICHAŁ RUSINEK

Na kongresie Penclubów w Amsterdamie



Gdyśmy w samolocie polskim, później w belgijskim, który wystartował z Kopenhagi, lecieli nad portami i plażami północnej Europy, każdy z nas czytał z zainteresowaniem ostatnie komunikaty prasowe. To samo zaciekawienie, jakie widziałem na twarzach Paradowskiego, Iwaszkiewicza, Brandysa i Żukrowskiego, można było dostrzec i w oczach innych pasażerów czteromotorowej „Sabiny”, zeglującej nad dość spokojnym wtedy morzem.

Słowa Genewa i Mendes-France, wybite tłustym drukiem, powtarzały się na łamach wszystkich pism, dostępnych nam w samolocie — polskich, holenderskich, duńskich, francuskich i angielskich. Premier francuski uzyskał poprzedniego dnia inwestyturę i to fantastyczną, jak na stosunki francuskie, większością głosów. Prasa europejska omawiała główny punkt programu premiera — jego nadzieje na załagodzenie w krótkim czasie sprawy pokoju w Indochinach. Konferencja w Genewie miała niebawem wejść w nowe, decydujące stadium.

Ta rozbudzająca się aura, powstająca w tym czasie nad Genewą, dopłynęła i nad hotel Carlton w Amsterdamie, w którym toczyły się obrady XXVI międzynarodowego kongresu Penclubów. Czterdzieści dwie delegacje z wszystkich kontynentów świata (31 delegacji europejskich, 5 z Azji, 4 z Ameryki Północnej i Południowej, 2 z Australii i 1 z Afryki Południowej) zasiadały do obrad w chwili zdającej się sprzyjać przebiegowi kongresu. Bo i na zjazdach penclubowych — choć instytucja w myśl założeń statutowych uważa się za apolityczną — byliśmy już w dawniejszych latach świadkami wielu spięć natury właśnie nie literackiej, lecz politycznej.

Tym razem kongres upływał w atmosferze pogodnej, bez większych niespodzianek. W przemówieniach dawał się odczuwać znaczny umiar słów, unikano zdradzeń politycznych i ideologicznych. Nawet Denis Saurat, międzynarodowy wiceprzewodniczący, na poprzednich kongresach główny młotador prezydium, przywdział inną skórę. Dawniej w Zurichu, Kopenhadze czy w Wenecji widzieliśmy go zawsze apodyktycznego, krzywo patrzącego na pisarzy pochodzących z terenów wschodniej Europy, zawsze gotowego do ataku. Zwłaszcza nam, Polakom, nie zapominał swej klęski w Zurichu, zadanej mu przy poparciu Francuzów, Belgów i Holendrów, współzawodniczący z nimi w walce o przewagę nad naszymi. W Wenecji w r. 1949 próbował zagłuszyć wypowiedzi naszej delegacji i manewrami ex presidio starał się wyłączyć jej głos z dyskusji.

Tymczasem w Amsterdamie spotkaliśmy innego niż dawniej Saurat, umiarkowanego w słowie, bardziej liczącego się w opinii sali, prawie nie nastawionego. Chyba i on nadśluchiwał głosu z Genewy.

Pojawienie się na kongresie, niewidzianych od kilku lat delegatów z krajów demokracji ludowych, bo oprócz nas byli Węgrzy, Czesi i Niemcy z NRD, było zapewne niespodzianką dla starych bywalców Penclubowych. O ile jednak delegaci większości krajów, znani nam z dawniejszych spotkań kongresowych, witali nas z nieukrywaną serdecznością, to niektórzy członkowie prezydium, wspomniany Denis Saurat i międzynarodowy przewodniczący, pisarz angielski Charles Morgan, byli bardziej wstrzymiżliwi. Może właśnie nasza obecność sprawiła, że Morgan w przemówieniu inauguracyjnym powołał anonimowo wszystkie delegacje a z imienia wymienił tylko Writers in Exile — centrum różnojęzycznych emigrantów.

Ów chłód, jaki odczuliśmy w przemówieniu powitalnym Morgana, naprawił niebawem David Carver, międzynarodowy sekretarz generalny, piastujący swą godność na miejscu zmarłego niedawno Hermona Oulda. W referacie sprawozdawczym Carvera, omawiającym działalność ważniejszych centrów Penclubu znalazło się sporo pochlebnych słów o pracy polskiego Penclubu, uchodzącego od dwudziestu kilku lat za jeden z poważniejszych i bardziej aktywnych ośrodków. Ostatnio opinie taką zjednało nam przyznawanie corocznych nagród za przekłady, organizowanie uroczystych zebrań literackich o charakterze międzynarodowym a zwłaszcza studium przekładowe w Warszawie i Krakowie. Zajął ono nie tylko godne miejsce w referacie sprawozdawczym, ale jako inicjatywa jedyna w swoim rodzaju, nie podjęta dotąd przez żaden inny ośrodek, stało się częstym tematem naszych rozmów kulturalowych. Zapowiedź druku całego cyklu prelekcji w osobnym wydawnictwie (Ossolineum) też wzbudziła zainteresowanie.

Temat dyskusyjny tegorocznego kongresu był mało szczególnie dobrane, co potwierdziła dość jałowa, chwilami całkiem mdła dyskusja. Radzono nad „eksperymentem w literaturze współczesnej”. Główny referent pisarz francuski André Chamson, który wygłosił swą prelekcję na sesji wyjazdowej w Hadze, nie wniósł, oprócz wspaniałej swady i pięknego dowcipu francuskiego, nic rewelacyjnego do swego referatu. Dyskusja dotyczyła się wyartym łóyskiem formalizmu. Temat po kilku dniach umarł na umięd starych i byliśmy świadkami niebywałego dotąd na kongresach Penclubu zjawiska — zabrakło mówców. Znaczące ozy- (Dokończenie na str. 7)

Kol. Stefanowi Kozickiemu oraz Rodzicom tragicznie zmarłej Joanny Broniewskiej-Kozickiej wyrazy serdecznego współczucia składa

Zespół „Nowej Kultury”

Z powodu tragicznej śmierci Joanny Broniewskiej-Kozickiej Mężowi i Rodzicom wyrazy głębokiego współczucia składa

Zespół Redakcyjny „Twórczości”

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

JÓZEF POGAN



Minęło 13 lat od napisania przeze mnie pierwszej książki „U g o r y”. Wtedy, jak i przez całe życie przed wojną, znajdowałem się w skrajnej nędzy na jednym morgu ziemi. Wykształcenia nie miałem, jak również żadnych przyjaźni - inteligentów. A więc książka nie zrodziła się ani z intelektualnego poznania literatury, ani też z przypadkowego zetknięcia się z literatami, czy innymi inteligentami. Zrodziła się raczej z przeżywania własnej i odczuwania cudzej nędzy na tle rodzającego się we mnie buntu przeciwko niesprawiedliwości społecznej.

Ponieważ byłem wraz z połową wieśniaków wypchnięty poza nawias życia i wrażliwy na wszystko, więc po prostu pękała mi głowa od przeróżnych przykrych myśli. Niepokój ten nie pozwalał mi nawet na badanie nad marnym swoim losem. Byłem struty do głębi tym, co przeżywałem i widziałem wokół. Ileż to razy musiałem wysłuchiwać narzekających biedniejszych kobiet nad swymi dziećmi: „Chudzieta, nawet jałowyżni nie pojedzą!”. Albo: czteroletnie dziecko prosi ojca: „Kup, tato, ziemniaków”. Tato jednak nie miał pieniędzy i musiał z dziećmi jeść jałową papkę zarnową z reszek jęczmienia na przednówku.

Takich wzruszających przykładów spotykało się nie mniej - na dobre, niż godzin w niej. To właśnie rodzący się bunt pchnął mnie na drogę pisarstwa. Już pierwsze przed wojną felietony, które drukowałem w „Chłopskiej Prawdzie” świadczyły, że wiem buntując się przeciwko panującemu porządkowi. W felietonie z 15 czerwca 1939 r. (w którym z drwiną posłałem samobójcę Sławka Walerego do piekła) pisałem m. in.: „Ciężkie jest życie chłopskie - robotnicze, lecz z więzłem w swej spistości... To pewne, że będziemy jeszcze otrzymywali ciosy, lecz że elita kapitalistyczna - magnacka tymi uderzeniami potrząsa swoje gąły - to więcej niż pewne...”. Albo: „Łączmy się chłopcy i robotnicy pod wspólnym Wolności Sztandarem i walczmy o dzień wyzwolenia... We wspólnym wysiłku przedziej oczekamy się czasu upadku panowania faszystów i wyzysku kapitalistycznego... Jednoczmy się pod Czerwonym Sztandarem, na którym jest krew chłopska - robotnicza... Bo między chłopem a robotnikiem nie ma właściwie żadnej różnicy...” („Chłopska Prawda”, nr 15, sierpień, 1939 r.).

Pierwsza moja książka zrodziła się z owego buntu, jakim odzywałem się najwinnie w „Chłopskiej Prawdzie”. Ale nie uważałem już za stosowne robić „krzyku”, natomiast starałem się ukazać bezsens układu społecznego na wsi - rozwarstwienie klasowe i antagonizmy społeczne między biedniejszymi a zamożniejszymi chłopami. Napisana książka spełniła poniekąd swoją rolę społeczną - potwierdziła w pełni, że chłopcy zdolni są do walki o życie.

Dalsza moja twórczość wyrażała się w książkach: „Cierpki owoc”, „Na głodnym zagonie” w broszurze „Dekret niebieski”, w nowelach, opowiadaniach i reportażach zamieszczanych w różnych pismach, podręcznikach szkolnych i zbiorowych wydaniach. Muszę się szczerze przyznać, że niezupełnie wywiązałem się z zadań, jakie na mnie nakładał obowiązek pisarza. Bo siłą rzeczy w sprawiedliwym ustroju społecznym wygasł we mnie bunt, a zaczęło się poszukiwanie treści społeczno - artystycznych. Nazywa się to „artystycznym rozbieganiem zabawek”, z których przy tym eksperymentach wiele się pociągnąć może.

Zbiór nowel i opowiadań „Cierpki owoc” napisałem częściowo podczas wojny, częściowo po wojnie na Śląsku. W tym zbiorze utworów o przedwojennej tematyce są lep-

sze, co świadczy, iż właśnie silniejsza konfliktowość jest dla mnie lepszym tematem twórczości. Tak, lubię ostrość, konfliktowość, gdzie mógłbym poprzez bohaterów wyrazić swój bunt przeciwko złu. Zauważyło również i to, że część utworów zawartych w „Cierpkim owocu” pisałem na progu nowej, tworzącej się epoki, której nawet wykształceni ludzie nie pojmowali. Więc owo „artystyczne rozbieganie i składanie zabawek” nie spowodowało poważniejszego skutku. Dlatego też „Cierpkiego owocu” nie uważam za dalszy etap mojej twórczości, raczej za dodatkową pozycję do debiutu.

W dalszej książce „Na głodnym zagonie” też nie spełniłem należycie obowiązku pisarza. Zamiast ukazania ostrej walki klasowej chłopów, ograniczyłem się niemal do rejestru nędzy biedniejszych i ich wyzysku przez bogatszych. To również świadczy, że gdy we mnie wygasł cokolwiek bunt przeciwko złu, gdy zrezygnowałem z konfliktowości - osłabiłem swoje pióro.

W poszukiwaniu nowych, społecznych treści tylko w niektórych reportażach uchwyciłem naturalny sens pulsującego życia chłopów. Do tego rodzaju utworów zaliczam kilka reportażów z pracy i życia pierwszych w Polsce spółdzielni produkcyjnych. Dlatego, że właśnie w tym temacie dojrzałem wroga postępu - kulaków, na których widok ponownie rozgorzał we mnie bunt przeciwko złu. Lecz poza tym już niewiele nowego na Śląsku dojrzałem. Myślałem często o oderwaniu się od podkrakowskich stron, gdzie mógłbym dalej kontynuować swoistą twórczość: ukazywać w nowych warunkach społecznych proces przeobrażania się dawnej biedoty wiejskiej poprzez napisanie chłopskiej trylogii. Być może, byłaby to naturalna droga mojej twórczości, którą mógłbym przebrnąć, gdybym pozostał w rodzinnych stronach. Tak błąkałem się przez kilka lat, nie dostrzegając, iż Śląsk również jest bogatą skarbnicą do czerpania tematów z pulsującego życia wsi.

Jakie to są tematy, które ostatnio zacząłem dostrzegać?

W zeszłym roku bawiłem przez parę miesięcy w spółdzielni produkcyjnej w Gwoździanach, powiat lubliński. Gromada ta znajduje się na Ziemiach Odzyskanych. Do pozostałych Ślązaków na ponie-mieckie gospodarstwa przybyli chłopcy z różnych stron Polski. Nowe życie gromady rozpoczęło się spłotem różnych związków życiowych między Ślązakami a osadnikami. Jedni i drudzy pragnęli dźwigać się z biedy i upadku gospodarczego. W ten nurt życia wbił się klinem zarówno bogacz - rdzenny Ślązak, jak i karierowicz - osadnik. Ważnieli pracujących chłopów, skłócili ich próbując rozbić. Nie ustali i wtedy, gdy ludność przesiadła na oczy i na tle tworzenia się spółdzielczości produkcyjnej zaczęła budować podwaliny pod nowe życie. Walka w słusznej sprawie trwała do zwycięskiego końca. Obecnie mamy tam kilku „weteranów” walki - ludzi, którzy mając najpierw tylko drogę przez wieś - współgospodarzą w dużym, zespołowym majątku. Również na działkach przyzagrodowych chowają krowy, świnie, owce i inny dobytek. Żyją dostatnio. Do takich m. in. należy sierota, powojenny jeszcze sługa u bogaczy, Adam Piasecki, nagrodzony parokrotnie za wzorową hodowlę bydła. Do takich należy była komornica i wyrobnica u bogaczy, Elżbieta Tyrara wraz z trojgiem pracujących w spółdzielni dzieci. Do takich należy sześćdziesięcioletni Józef Małyska, który wniósł do spółdzielni 12 ha ziemi i wiele innego mienia. W zeszłym roku wypracował 540 dniówek obrachunkowych. Na dyplom uznania i tytuł przodownika pracy, który otrzymał, w pełni zasłużył. Takich ludzi jak Piasecki, Tyrara, Małyska jest немало w gwoździańskiej spółdzielni. Byłych średniaków ciężających raczej ku bogaczom oraz skazanych na poniewierkie biedaków - nurt postępu przekształcił w kowali nowego, jasniejszego życia.

Albo Antoni Mazur z Bziny Nowej, również z lublińskiego powiatu. Ileż ten człowiek włożył pracy, zanim zorganizował początkowy żywot osadników!... Ile potem podczas organizowania spółdzielni produkcyjnej!... ile przy jej zagospodarowaniu i rozwoju!... Dzięki jego mozolnej pracy dziś wszyscy chłopcy z gromady gospodarzą już zespołowo. Teraz bzinicka

ziemia rodzi na każdym hektarze więcej o 3 kwintale zboża, każda krowa daje więcej o tysiąc litrów mleka, nowe sady dają doskonały dochód. A założona świetlica, przedszkole, parodówka kształcą ludzi i umożliwiają im życie. A więc Mazur - to bohater wsi naszych czasów.

Albo dokonany ostatnio postęp chłopów w Rudoltowicach w powiecie pszczyńskim. Do r. 1947 królowała tam tradycja karczma. Dzięki uciążliwej pracy nauczycieli Jana Wojny i Józefa Wieszki karczma zamieniono na świetlicę, którą odwiedza dziennie około 50 osób. Czytają wiele pism m. in. „Przegląd Kulturalny”, „Problemy” i inne społeczno - literackie tygodniki. Trzy zespoły artystyczne urządzają częste występy. W zeszłym roku zespół teatralny dał przeszło 30 przedstawień „Dożywocia” Fredry i „Skapca” Moliera. Obecnie zorganizowano zespół pieśni i tańca. A zimą odbywały się co wieczór kursy: sanitarny, robót artystycznych, języka rosyjskiego i inne.

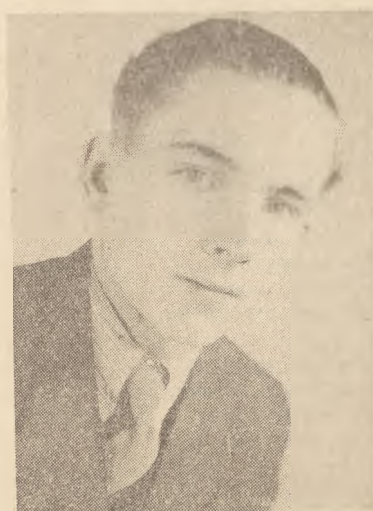
Podniesienie poziomu kulturalnego ludności, wysłuchiwanie prelekcji i odczytów z dziedziny rolniczej i pokazowe poletka konkursowe zrobiły poważny przełom we wsi. Od roku 1951 wydajność zboża wzrosła o 2 kwintale z ha, hodowla świń powiększyła się o jedną czwartą część, przybyło 70 krów, a mleczność podniosła się o 1100 litrów od każdej krowy. Poprzednio żaden z gospodarzy nie chował owiec, obecnie przychowano już 100 sztuk miękkowoolnej rasy. Rozwinęło się też nieuprawianie w pierw warzywnictwo i podźwignęło sadownictwo, o czym świadczy przeszło 100 okien inspektowych, oraz masa wypielegnowanych sadów i ogrodów. Do tego postępu gospodarczego pchnęli chłopów dwaj nauczyciele i paru działaczy kulturalnych. My, pisarze, jakoś pomijamy takich bohaterów nowych czasów.

Gwoździany, Bzinica i Rudoltowice nie są wcale wyjątkiem. Takie postępowe gromady i ofiarne w niej ludzi znajdziemy w każdej gminie - stalinogrodzkiego województwa. W warunkach sprawiedliwego ustroju wieś rośnie nowymi ludziami i tworzą jaśniejszą przyszłość sobie i narodowi.

Wspominałem na wstępie o konfliktowości, jako o specyficznym nurcie mojej twórczości. Ale gdy bliżej przyjrzałem się życiu chłopów na Śląsku - wygasający we mnie bunt zaczął mnie ponownie nawiedzać. Bo zło społeczne nie zniknęło - jak mi się wprawdzie wydawało - z dniem przeprowadzenia magnatów z ich szerokich włości i kapitalistów z fabryk... Nie zniknęło przez samo powstanie nowego ustroju społecznego... Zło trzeba dopiero wykorzeniać w sprawiedliwym ustroju społecznym, a to jest obowiązkiem pisarza. Ja tego obowiązku w okresie dziesięciu lat istnienia Polski Ludowej w pełni nie wykonałem.

Józef Pogan

BOGUSŁAW KOGUT



Było nas sporo - niedorosłych i niedopierzonych działaczy ludowych, konspiratorów, niedosłych rewolucjonistów. Zabojezo wierni buntowniczym tradycjom, po narodowolsku zadziorni i po chłopsku uparci - dobyliśmy do tego punktu historii, który wydawał się być metą - do lipca 1944. Na mecie - rzecz oczywista - spodziewaliśmy się oklasków, spoczynku chwalebego, niektórym marzyły się etaty, bohaterów w historii, historii kraju i ludu. Okazało się wszakże, że meta była zarazem początkiem ciężkiego, heroicznego etapu, że na fety, honory i laury czasu zabrakło. Żeby to pojąć, nie wystarczyła naturalna przynależność do tradycji Napierokiego i Szeli, ani też mniej lub więcej zasłużone miano weteranów powstań rzeszowskich z lat trzydziestych. A wypadki nie chciały czekać. I tutaj drogi nasze zaczęły się rozchodzić. Jedni poszli prosto do armii. Ci spośród nich, którzy wymknęli się śmierci pod Rotenburgiem i Dreznem, kładli potem głowy po Baligródach i Cisnach wierni do końca ludowej sprawie. Inni czynili podobnie, ale ostrożniej, mądrzej. Szli, owszem, do armii, ale najpierw „weryfikowali” wszystkie swoje zasługi, wszystkie swoje uprawnienia do chwały. Tych kapitulacja Berlina zastała prze-ważnie na tyłach, w zapasowych pułkach. Nie zdążyli. Potem obłepieni gwiazdkami i krzyżami paradowali po garnizonach. Przeważnie i tam nie zagrzewali miejsca. Szli do cywila - stamtąd do Mikolajczyka albo i do podziemia. Ci też byli po swojemu wierni.

Była jeszcze jedna grupa wier-nych. Boczyli się na lewo i na prawo. „Że reforma rolna - to jasne. Ale wszystko inne, cały ten komunistyczny socjalizm? Nie, nie o to się walczyło w trzydziestym drugim i trzecim, nie o to teraz”. O co? Odpowiedź znaleźć było coraz trudniej. Nie znaleźli jej, znaleźli natomiast wyjście: „Myśmy swoje zrobili, Polska jest, chłopcy w rządzie są, reszta nie do nas należy”.

Ci nie zdążyli naprawdę. Między nimi byłem i ja.

II

Kiedy walka klasowa przybierała na sile, kiedy „legalna opozycja” - Mikolajczykowskie P. S. L. wspierało nie przebiegający w środkach walki faszyzm i obnażało coraz

bardziej swoje zdradzieckie oblicze - ja, tak samo jak i wielu mnie podobnych, usiłowałem żyć przy zamkniętych drzwiach. Kontynuując przerwana przez wojnę naukę, pracując jako urzędnik skarbowy no i pisząc przy tym, nie nudziłem się oczywiście. Ale ani nawał pracy, pracy ciężkiej i wyczerpującej, ani też „robiona na siłę” obojętność nie zdołały przesłonić horyzontów. Niesposób było nie widzieć i nie rozumieć tego wszystkiego co się dzieje. Teoria o „zrobieniu swojego” nie wytrzymała długo, przyszła świadomość pozostawania w tyle, świadomość gorzka, męcząca. Żeby coś zrobić - pisałem. Z wierszy moich pokpiwały redakcje literackie, drukowały je pisma ludowej lewicy. Aczkolwiek pokpińki, autorytetów były zapewne uzasadnione - nie wstydzę się dziś tych wierszy, zresztą mało komu znanych. Nie wstydzę się ich dlatego, że już wtedy, wbrew narzuconej samemu sobie pozycji człowieka apolitycznego - w wierszach tych brzmiała ta sama klasowa prawda, którą świadomie staram się mówić dziś, po paru latach pogoni za własną klasą i paru latami pracy w szeregach Partii. Tak więc już wtedy, w roku 1946 zwyciężyło to, co słusznie nazwano instynktem klasowym.

Rzecz zrozumiała, że samym instynktem nie można działać wszystkiego, dlatego też moja droga do pisarstwa była równie długa, uciążliwa jak moja droga do Partii. W jakieś kiedyś moim rówieśnicy wydawali którymś tam z kolei tom poezji, ja posyłałem wiersze Julianowi Tuwimowi. Odpisywał: „...niech pan nikogo nie słucha i pisze dalej. Gorąco pana do tego namawiam z całym poczuciem odpowiedzialności za te słowa. Z czego prosty wniosek - że uważam pana za człowieka z niewątpliwym darem poetyckim”. To zdanie wielkiego poety było dla mnie pasowaniem na rycerza Muzy.

Ale dziś, kiedy piąta moja książka wchodzi pod prasę drukarską, myśląc o swoim rzemiośle literackim widzę jego wcześniejszy początek. Gdyby nie owo kłamstwo: „ja swoje zrobiłem”, przed którym to kłamstwem broniąc się instynktownie zaczynałem pisać - nie zostałbym zapewne literatem. Zostałbym chyba żołnierzem, a może nie zostałbym wcale... Nie mówię tego z satysfakcją, nie. Ale mówię dlatego, że podobny los przypaść w udziale znacznej części mojego pokolenia chłopów, tej części która od Batalionów Chłopskich nie doszła na przełomie lat 43 i 44 do Armii Ludowej, która została i nie zdążyła. Mówię więc i za tych, którzy nie zostawili żołnierskimi, nie zostali także pisarzami.

Szczerze mówiąc - robotnicze prawo nie stosowało wobec nikogo rachunku buchalteryjnego. Nie podganie, nie popędzanie tych co nie zdążyli, pokazywano tylko drogę, pomagano po ludzku.

Świadomość, że nam pomagano wtedy, kiedy myśmy winni byli pomagać, że nas podciągano, kiedyś myśmy winni byli kroczyć w pierwszej linii - nie daje powodów do dumy. Ale mobilizuje. I zobowiązuje.

III

Z gorliwością neofity, z pasją o-zdrowienia (czy jakby to jeszcze powiedzieć) pracuję od kilku lat. W niedługim czasie wydałem kilka

książek. Rozpocząłem cykl powieściowy „chłopski” cykl. W pierwszej powieści „Zbuntowani” przeprowadziłem polemikę z defensywną postawą („niech każdy robi swoje”), z jednej strony oraz z narodowolską ideologią chłopskiej rewolucji z drugiej. Jeśli wierzyć krytykom i czytelnikom, że polemika ta nie najgorzej się udała, to udało się dlatego, że była to polemika z samym sobą, polemika obrachunku. W będącej w druku drugiej powieści cyklu jak i w następnych zamierzonych chcę ukazać drogę klasy chłopskiej do socjalizmu, od narodzin robotniczo - chłopskiego sojuszu w latach międzywojennych, poprzez okres okupacyjny do czasów dzisiejszych. Drogę, na której tylekroć się potykałem wraz z znaczną częścią moich rówieśników i z całym pokoleniem naszych ojców. Cykl ma się składać z pięciu powieści. Obecnie dochodzę do połowy drogi. Czy powieści te spełnią oczekiwania czytelników, czy wypełnią sławną lukę w literaturze „chłopskiej” - nie wiem. Wiem wszakże, że te książki napiszę. Przekreśliłem je - i nie mógłbym nie napisać. Jeszcze swojego nie zrobiłem.

IV

Nie łatwo mi przychodzi pisać tę wypowiedź. Bo właściwie mógłbym powiedzieć bardzo dużo a jednocześnie bardzo niewiele. Dużo - gdyby szło tylko o sprawy, o których mówiłem na wstępie; niewiele - gdyby szło o to, co w odpowiedzi na ankietę powinien powiedzieć pisarz. Jeśli nie wielkim i ilością napisanych książek, to przynajmniej czasokresem „obecności” w literaturze przynależę do pokolenia zwanego najmłodszym. I w tych okolicznościach pisanie o własnych doświadczeniach jest samo przez się kłopotliwe. Więc mogę wypowiedzieć ujęć problemowo, polemicznie; a może powiedzieć o najbliższych kolegach, którzy przyciagają swoją pierwszą książkę, a z którymi pracuję od początku istnienia Koła Młodych? Oczywiście - wszystkiego nie zmieszczę.

W Kołach Młodych często mówi się, że ten a ten jeszcze nie zdecydował, czy będzie pisał prozą, czy zostanie przy poezji. Ja również nie zdecydowałem się jeszcze, ale też nie widzę konieczności takiego wyboru. Bo niby czemuż to poezja ma prozie przeszkadzać? Myślę, że raczej pomóc powinna bez względu na wiek i staż literacki autora.

Otóż ten wiek i staż, ta młodość. Julian Przybóś w swej odpowiedzi na ankietę zauważył, że Leopold Staff młodszy jest od wszystkich młodych poetów, których debiuty zaprezentowała „Nowa Kultura” przed zjazdem oborskim. Wiadomo oczywiście o jaką tu młodość chodzi.

Żadna to hańba przegrywać ze Staffem - nawet w tak ustawionej konkurencji. Rzecz jednak w tym, że w twórczości naszej młodzieńczej entuzjazm przeradza się czasem w starcze przyzwyczajanie, nowatorstwo w epigonizm. Bywało tak i bywa, a być nie powinno - to jasne.

Jest wszakże pewne „ale”. Nie ma żadnej potrzeby polemizować tu zasadniczo ze stanowiskiem Przybysia, stanowiskiem wybitnego i czujnego artysty troszczącego się głęboko o rozwój poezji. Przybóś wyjątkowo czuły na każdy fałsz, na każdą „fuszerkę” poetycką, ostrzej niż wielu innych (poetów i krytyków) piętnując nieuczciwość, beznadzieję, epigonizm. I w tym miejscu trafiać celnie, godzi w punkty neuralgiczne. Ale skoro kładąc na szalę cały autorytet wybitnego poety, daje (może mimo woli) przepis na nowatorstwo - przepis ten musi obudzić sprzeciw. I wcale nie o to idzie, że to co Przybóś uważa za jedynie nowatorskie, nie jest także bez precedensów i że odnalezienie drzewo genealogiczne danej oryginalności można by także mówić o epigonstwie. Choć o to, że w całej wypowiedzi zawierającej szereg słusznych i bardzo trafnych, ale ogólnych diagnoz „negatywnych” - jest tylko jeden konkretny - poezja Tadeusza Różewicza, przeciwstawiona wszystkiemu innemu. Stąd dla najmłodszych jeden wniosek, że tylko tędy droga. Nie, nie generalizujemy tak pochopnie. Ogłaszanie za obiektywnie najlepsze tego, co najbardziej podobne do nas samych - zawsze budzić musi nieufność.

Nie kopiujmy „bogoojczyźnianych” wierszy z Nową Hutą zamiast komendanczkiej kaszanki, nie naśladowujmy tużinkowych epigonów wszystkich czasów - ale też nie uważajmy, że im dalej od tradycji tym lepiej, tym oryginalniej, tym bardziej nowatorsko. Nie szukajmy oryginalności za każdą cenę, nawet za cenę rezygnacji z prostoty i logiczności; nie zacieśniamy naszej drogi do jednej jedyniej wąskiej ścieżki. Młodość wcale nie musi objawiać się w przewracaniu czy też tylko omianiu wszystkich co starsze od nas. Nasz romantyzm polega także i na tym, że zachowując „czucie i wiarę” - czucie nie prorocze, ale ludzkie i młodzieńcze, wiarę nie objawioną ale wypracowaną - nie odrzucając „medrca szkiełka i oka”.

Bogusław Kogut

Z IV OGÓLNOPOLSKIEJ WYSTAWY PLASTYKI



Stanisław Michałowski

Kopanie ziemniaków

ALEKSANDER TWARDOWSKI

Z A D A Ł Ą — D A Ł

(Notatki z podróży)

R o z d z i a ł p i e r w s z y

Za dałą — dał

(Fragment)



Czas! Lśnią otwarte semafore,
Gotowy pociąg mój do biegu —
I dni przeżyte do tej pory
Na drugim, zda się, są już brzegu.

Połowę znam, być może, świata,
W pośpiechu coraz większym żyłem,
Mijały za latami lata,
A tej podróży nie odbyłem.

Choć moja myśl czuwała przy niej,
Choć ją za swoją miałem drogę,
Była jak książka: chce w terminie
Przeczytać ją — i wciąż nie mogę.

To wszystko stało na zawadzie,
Co dzisiaj każdy ma w pamięci.
Spokoju tylem nie zgromadził,
By móc lekturze się poświęcić.

Lecz pierwszy rozdział książki swojej
Zaczynam czytać w takiej dobie,
Gdy, że tak powiem, ze spokojem
Znow spokój dać musimy sobie...

Jadę już. Ze mną — dom mój mały,
To, co się w drodze ma zazwyczaj,
A świat ogromny za przedziałem,
Niby za burtą woda, ryczy.

Nad mym posłaniem śpiewa, bije
Gradem o szybę, zsyla zamięć
Przedwczesną, świszczącą z nią i wyje,
Różnymi skarży się głosami.

Kolejna, rzekłbyś, bieda wzbiera
I utajoną zdradza trwogę.
Słyszę go jeszcze lepiej, teraz,
Kiedy na wschód odbywam drogę..

Jadę. Śpią ludzie o tej porze,
Lecz ja nie mógłbym zmużyć oka,
Po podmoskiewskich ogni zorze
Jeszcze mi świecą w nocnych mrokach.

W podróży prześpię nocy wiele —
Jeszcze mi tych, moskiewskich, żal.
Jeszcze od Wolgi dał mnie dzieli,
A tam się właśnie zacznie dał —
Za tą granicą: wielką wodą.

A gdy podkładów przetną schody
Kraj Zawołżański,
Przedurale —
Na stromy Ural mnie zawiodą,
Na Ural, skąd pochodzi stał
Grzmiejący pode mną magistrali.

A za Uralem —
Zaurale,
A tam osobna, inna dał.

A tam jest Bajkał, za tą dałą:
Na okrażenie — dobę daj.
A za Bajkałem —
Zabajkale,
A tam już znów następna dał.

Która się w dał przemieni nową,
Ta zaś, nieznaną, jeszcze z inną
Zewrze się, wielką i surową,
Aż ją wagonu okna miną...

I pokonawszy punktualnie
Swojej ogromnej drogi przestrzeń,
Dalekowschodni pociąg stanie
Tam, gdzie już Wschód Dalekim zwie się,

Gdzie na ostatniej naszej stacji
Graniczne słupy wyrastają,
Gdzie, zda się, echa detonacji
Dochodzą z sąsiedniego kraju.

Lecz jeszcze z Moskwą być mi dano,
Jej czas jest moim, a nie inny.
I, jakby w domu na dobranoc,
Ostatnie chłonę jej nowiny.

R o z d z i a ł d r u g i

Siedem tysięcy rzek

Przez sen, na górze, gdzie się zdrzemnął
Pod kołysankę kół miarową,
Jużem posłyszał, jak pode mną
Padło o Woldze pierwsze słowo.

Wstaje—wre wagon, chociaż świta:
Kto żyw, ku oknu się przeciska,
Od ludzi roi się korytarz —
Każdy chce Wolgę ujrzeć z bliska.

Emocja nagła i niezwykła
Wszystkich zbliżyła. Nie inaczej
U wrót granicznych jest na przykład,
Lub gdy się z dała Kreml zobaczy.

Przy szybie stoje, major obok —
Patrzymy w szkło zapamiętałe.
Jeszcze nie znamy się ze sobą,
Choć w jednym spaliliśmy przedziale.

Stoimy pałac. Ja mu sprzyjam,
On mnie. I tak nam dobrze razem,
Jakby od lat już trwała przyjaźń
Lub ranek zastał nas pod gazem.

Jeden drugiemu odstępuje
Najwygodniejszą krawędź szyby.
Aż major ramię me ujmuję:
— To ona!
Ona! — I, jak gdyby

Z ulgą westchnawszy, cicho śmiał się.
Myślałbyś, że mi sąsiad-major
Wolgę obiecał, sam zaś bał się,
Że znikła gdzieś... I oto ma ją.

— Ona! —
Most kryje się przed wzrokiem,
A z prawej strony, niedaleko,
Przecina pole klin szeroki,
Droga urywa się nad rzeką.

Zdawało się, że pociąg w pędzie
Wzleci, zostawi wodę w dole
I — nie ma rady! — truć będzie
Wciągnawszy koła jak samolot.

Lecz nie: zwolnwszy bieg pokornie,
W mostowy tunel, w sieć stalową,
Przy małej wcisnął się wartowni
Tak jak przystoi, przepisowo.

I grzmot nad rzeką się rozlegał,
Kiedy podkładów setki liczył,
Co się pod koła ślały jego
Z uległym szczykiem metalicznym...

I cóż? Spojrzałeś raz — i tyle,
I patrzeć już nie mogłeś dłużej,
I pozostała Wolga w tyle
Nie opuszczając nas w podróży



I naszych słów czy zamyślenia
Nie odstępując z własnej chęci
Zadnemu pięknu otoczenia,
Ludzkiemu życiu i pamięci.

Ani przestworzu, ani dali,
Za którą nowy kraj się chowa,
Ni rzek sybirskich hardej chwały,
Gdy dotykała ich rozmowa.

Ani dalekim, obcym stronom,
Ni muiom pieśnią lat okrytym,
Ni miastom wczoraj narodzonym,
Jakby wśród ognia walk zdobytym.

Ani uczonych nowym planom,
Ni podnoszącym się z głębin
Wspomnieniom, tobie tylko znanym,
Miejscom, i dniem, i sprawom innym...

Zapewne nicodparta siła,
Którą od wieków w sobie miała,
Tak serca nasze dziś wabiła,
Tak ku jej brzegom nas wolała.

Tam, gdzie obecną sławą swoją
Nie nie zmieszana do tej pory,
Majestatycznie, ze spokojem
Starymi podążała torą.

Siedem tysięcy rzek pędzących
Burzliwie z gór — i po równinach,
Wśród pól, skrętami w dał płynących —
Siedem tysięcy — każda inna! —

Zdołała zebrać i przytulić:
Wielkie i małe — wszystkie, które
Żłobiły bruzdy w ziemskiej kuli
Od wzgórz waldajskich aż po Ural.

Choć odprysnęły w prawo, w lewo,
Rodzinę jedną tworzą przecie,
Co jak rozgałęzione drzewo
Rozprzestrzeniła się po świecie.

Cóż stąd, że wód ich w jej korycie
Nie umiałbyś rozróżnić wcale,
Gdy niezliczonych ziem odbicie
Unoszą bystre Wolgi fale.

Połowa Rosji — bez przesady —
W niej się jak w lustrze przeglądała:
Równiny, góry, lasy, sady,
Parki — i ładu piękność cała.

Kremlofskich murów grzbięt wyniosły,
Soborów krzyże i kopuły,
Wielopręślowe, nowe mosty,
Drog wiejskich łozy, zżarte mulem.

Fabryki i wiertnicze wieże,
Więś, która w miasto się rozciąga,
I twój budynek szkolny, gdzieś
Usłyszał, że istnieje Wolga.

I mocno wierzy się dlatego,
Falami tymi sycąc oczy,
Że Wschód i Zachód — brzeg do brzegu —
Przybliża Wolga i jednocy,

Że oba kraje nad jej wodą
W całość złączyły się na wieki,
Że Wolga — to ojczyzny środek.
Siedem tysięcy rzek — jej rzeki!

Nie darmo lud nasz nieustannie,
Przez setki lat, wzdychając z żalem,
Marzył wraz z nią o oceanie,
Dokąd nie mogła drogi znaleźć.

I to, co czuły pokolenia,
To, co potrzebą było Rosji,
Nasz wielki wódz Włodzimierz Lenin
W pamięci miał i w sercu nosił.

A gdy odchodził, pozostawił
To zalecenie nam, wśród innych,
Które w dni nasze spełnił Stalin,
Obrońca Wolgi w złych godzinach.

Wśród stepu.*w czasie wyznaczonym
Odwieczny bieg umiała zmienić
I wypłynęła z nurtu Donu
Na szlak łączący wody ziemi.

Przed jej pragnieniem ustąpiła
Góra zagradzająca przejście..
I jawą stało się, co było
Marzeniem cara Piotra jeszcze.

I wszystkim krajom jest dziś znane,
Wypom i kontynentom całym,
Że oto wody oceanu
I Wolgi-matki się zbierały.

Cóż stąd, że w oceanie skrycie
Jej rozcięzione tętnią fale?
Ojczyściej ziemi swej odbicie
Niesie i tam — i w nowe dale

Odprowadzając nas w tej chwili,
— Dziś wyscie wszyscy — przypomina —
Wolżanie dla mnie, moi mili,
Jam zaś dla wszystkich was — jedyna.

Najzaszczytniejsze matki miano,
Które zyskałam przed wiekami,
Mnie tylko, matce-Rosji dano
I matce-Moskwie razem z nami.

Dla swoich — swoja, obcym — obca,
Dumna ze służby swojej wdzięcznej,
Tobą, o chwało nadchożąca,
Pokój i piękno jego wieniec,

I siłę niewzruszoną jego,
Triumf ludzkości, który wciela,
Moskwę i Rosję — najlepszego
Sprawy pokoju przyjaciela.

R o z d z i a ł t r z e c i

Dwie kuźnie

(Fragmenty)

W chutorze głuchym, przy zajeździe,
W Zagoriu, kuźnia w cieniu stała
Szczerniałych brzoź. Jam świat w tym gnieździe
Ujrzał i przeżył dni niemało.

Znam odbłask, który ogień ciska
Na zakopconą biel palupa,
Świeżość czarnego znam klepiska
I dzieciowego dymu zapach.

To wszystko znam z tych czasów może.
Gdy matka, mając lat dwadzieścia,
Do ojca w obiadowej porze
Nosila mnie na rękach jeszcze...

Pomnę zmęczony dźwięk kowadła,
Co w ciszy leśnej brzmiał przed nocą
Tak smutnie, jakby mu wypadło
Obwieszczać skargą swą sierocą

Każdemu w kraj o życiu trudnym,
O skąpm grozcu, dnia krwawicy,
O kraju biednym i nieludnym,
Niegłośnie naszej okolicy,

Gdzie drogi się w ostępach leśnych
Gubiły, w krzakach, bagnach, płachach,
Gdzie całe swe żelazo wiesniak
Latwo by zmieścić mógł pod pachą;

Gdzie klient był z przypadku gościem,
Co raz na dziesięć lat kowala
Tak jak lekarza z konieczności
Odwiedzał — gdy go mus zniewalał.

I ten kowadła głos wieczorny,
Skrzypienie miechów, syki ognia
Od tamtej, wczesnej życia pory,
Gdziekolwiek jestem, słyszę co dnia.

Trwa ubogiego życia pamięć,
Życia wśród krzywdy i goryczy.
Wiem: razem z ojcem przed latami
Odeszło, jest już cieniem, niczym;

Wiem: nigdy się nie zjawi znowu,
Alem od niego zaczął drogę
I, jak to mówią, dobrym słowem
Śmiało je dzisiaj wspomnieć mogę.

Gdym życia więcej niż połowę
Przeżył — przypadło mi w udziale
Przy pracy widzieć raz bojowej
Najpotężniejszy młot Uralu.

I choć musiałem stać w oddali,
By fali ustrzec się gorącej,
Wstrząsały ziemią tony stali,
A młot ten ważył ton tysięcy.

Nie mogłem pozbyć się wrażenia,
Że, pod ciosami głucho jęcząc,
Spod stóp się nam usuwa ziemia,
Wstrząsana do skalnego wnętrza.

Ale powszechnym tym loskotem
Z początku ogłuszony — później
Rodzimy dźwięk wiejskiego młota
Jużem z łatwością w nim wyróżnił.

I zapach ślały mi znajomy
Płomienie i młotowin chmura,
I byłem w kuźni tej jak w domu,
Chociaż wiedziałem, że to Ural.

Ural! Testament wieków wielu
I przyszłych czasów jednocześnie
Zapowiedź. Serca nam weseli
Potężnym basem, dźwięczną pieśnią —

Ural! Podpora państwa, kowal
I twórca dóbr ojczyzny całej,
Równieśnik chwały jej wiekowej,
Bojownik jej dzisiejszej chwały.

Gdy szły na zachód eszelony,
Na kraniec gorejącej ziemi,
Pełne potęgi niezliczonej:
Pancernej broni, luf, gąsienic —

Wtedy, w jednym się łącząc zryw,ie,
Ogromny front powtarzał chórem,
Westchnawszy po synowsku, tkliwie,
Wyrazy dwa:

— Ojezulek-Ural...

Ural! I dzisiaj lud nasz przecie,
Gwarzący sobie po wagonach,
Gdy drugi pędzi mu naprzeciw
Pociąg, uralskie wioząc plony —

Jak gdyby czapkę zdjął w podzięce,
Nagle rozmowy swe, gaduła,
Urywa — i powtarza sercem
Wyrazy dwa:

— Ojezulek-Ural...

Ural! Przejeżdżam obok niego
I serce moje smutek ściska:
Będzie poza mną wnet, daleko,
Tak jak krajina ma ojczysta.

Lecz ileż razy w czasie drogi,
Wstając czy się windując w górę,
Powtórzę z większym co dnia ogniem
Wyrazy dwa:

— Ojezulek-Ural...

Ural! Czas go pożegnać z żalem,
Słowa wdzięczności mając dlań..
A za Uralem —
Zaurale,
A tam osobna, inna dał.

Przełożył Eugeniusz Żytomirski



Rys. Marek Rudnicki

Spotkanie w Kijowie

Fragment wylety jest z pierwszego tomu trylogii powieściowej, przedstawiającej zdarzenia z pierwszej połowy XIX wieku. Trylogia ma służyć nakładem „Wydawnictwa Literackiego”. Tom pierwszy opisuje dzieje bohaterów: chłopów i żołnierzy słynnego czwartego pułku Królestwa Polskiego na tle spisku Łukaszińskiego. Bohaterowie tego tomu będą brać udział w powstaniu listopadowym i działalności rewolucyjno - demokratycznej na wsi, w wojsku i w

Warszawie (tom II, dawna „Próba Ognia”), a po klęsce zależą na emigracji, w Anglii, Gromadę Ludu Polskiego „Grudzią” (tom III). Wyjątek niniejszy opisuje podróż do Kijowa szlachcika Kajetana Jurzyny, człowieka uważającego się za postępowego, zbiegłego dzierżawcę, a ostatnio właściciela włości, wraz z synem, Bonawenturą, podporucznikiem 4 pułku piechoty, i ich dalekimi krewnymi, Worcellami. Podporucznik brał znikomo udział w Towarzystwie

Patriotycznym Łukaszińskiego. Do Kijowa przybywa równocześnie z przedstawicielami władzy tegoż towarzystwa (po klęsce Łukaszińskiego), na których niecierpliwie czekają spiskowcy rosyjscy, na próżno domagający się współpracy. Jednocześnie przyjazd do Kijowa powoduje przypuszczenie, że podporucznik jest znaczącą figurą polskiego sprzysiężenia. Celem podróży ojca jest kupno wsi na kontraktach kijowskich.

mego. Iwanow zapewniał, że srodze złańkowny jest wieści z Królestwa. — Stoję niedaleko stąd, zapraszam, porwam i ani słowa. Jest u mnie kilku kolegów, porozmawiamy przy winie. To moi ludzie, możesz pan czuć się jak między zaufanymi. Proszę nie odmawiać. Jesteś pan, poruczniku, na terytorium wroga, wzięty w niewolę — mówił żartobliwie, wskazując drogę. Oficerowie stali na kwaterze w małym pałacyku zajętym całkowicie przez wojskowych. Kilka małych sań czekało przed zajazdem, kuchcił w białych czapach ciągnął na płozach skrzynkę z winem, kilku żołnierzy przechadzało się przed bramą chuchając w dłoń i pocierając nimi policzki, pokraśniając z zimna. Z okna rozległ się dźwięczny, męski głos śpiewający pieśń miłosną przy wtórze gitary, głośny

słowo — mają się zobaczyć z tymi waszymi panami, wiesz pewno o tym, wiesz lepiej pewno od nas. Chodzi im o to, by przed tym osiągnąć języka od kogoś, kto nie jest do nas uprzedzony. Wybrałem się więc na małą przeczadkę, która miała na celu spotkanie ciebie, panie poruczniku. Teraz — zostawiam was samych. A obiecać wino, prawdę, przyniosę.

Paweł Pestel brząkając krzyżami za wojnę z Napoleonem przemówił pierwszy.

— Mniejsza o to, kim jesteśmy, pan wiesz, poruczniku, kim być możemy, prawda. Jesteśmy głęboko zabroskami przyjaciele wasi. Wolno nam mniemać, że ponieważ przybyłeś pan tu z ludźmi, o których wiemy, że sprzysiężyli się wyzwolić waszą ojczyznę, do ich grona należysz.

wie, Rosjanin, oficer, który mu pomagał niweczać, póki się dało, nieczne zabiegał Nowosiłowa. Mówisz: „Konstanty”. Toż tego Konstantego upatrują wasi arystokraci na króla polskiego, na wypadek, gdyby u nas wybuchło powstanie. Oddać im Liwów i Ukrainę z Konstantym jako królem — oto ich marzenie.

— Nieprawda, pułkowniku, nieprawda — szeptał Jurzyna. — Konstantego?!

— Konstantego. Mówią o rewolucji. Myśmy wszyscy dzieci rewolucji. Duch przeobrażeń powoduje przewrót w umysłach, ale Polacy myślą jeno o obronie przywilejów jednej kasty, jej majątków, za nie mając lud, naród. Jesteśmy Rosjanami — tłumaczył wolno, beznamiętnie Pestel — dobro Rosji wymaga tych ziem, któreśmy wam zabrali. Ale prawo do samodzielnego

Pestel poprosił, by usiadł. Nie lubił słowa „poświęcenie”. Za kilka dni spotka się z wysłannikami Towarzystwa Patriotycznego na ostateczną rozmowę. Polacy nie mogą dalej zwłóczyć, zwodzić, wymigiwać się. Muszą dać wyraźną odpowiedź: powstana, czy nie, kiedy ruszy się żołnierz rosyjski. Ten młody oficer polski ma rację: krzywdy, jakich doznawali od carów i ich slugusów — uznają za krzywdy doznane od Rosjan. Szkoda Łukaszińskiego. Z nim — doszł by prędzej do porozumienia. Ani on, ani jego przyjaciele nie mieli majątków za czarnobiałym kordonem. Mówił pułkownik Łunin, adiutant Konstantego, że Łukasziński był szczerym republikaninem. Przecież jeszcze nie umarł dla sprawy, choć w twierdzy zamojskiej zamknięty. Dotrzeć do niego, rzucić jego autorytet na szalę wahających się wodzów polskiego spisku...

— Wybacz pan, poruczniku, żeśmy go zwabili do siebie w ten sposób. To, co mówimy, zostanie między nami. Słowo oficerskie?

— Słowo.

— Za kilka dni zgłosi się do pana nasz oficer. Proszę być z nim szczerzy. A teraz proszę powiedzieć, dlaczego wypierałeś się pan, że należysz do delegacji Towarzystwa?

Jurzyna zrozumiał. Więc wzięto go za wysłannika władz Towarzystwa! Więc Krzyżanowski i Jabłonowski nie tylko na kontrakty tu zjechali!

— Mój pułkowniku — powiedział — nie jestem wysłannikiem Towarzystwa. Nawet nie bardzo byłem z nim związany. Wzieliście mnie za kogo innego, panowie. Jestem skromnym oficerem czwartego pułku piechoty liniowej. Ale macie moje słowo: jak się domyślam, jesteście panowie członkami rosyjskiego sprzysiężenia. To, co posyłałem, wystarczy mi. Poświęć wszystko, by pomóc sprawie, którą reprezentujecie w tak szlachetny sposób.

Nigdy jeszcze tak poważnie nie przemawiał, słowa, jakie wydobywał spod serca, brzmiały czysto i pewnie. Oczy patrzyły bez trwogi przed siebie, na wielką mapę, na biały jej pas między Królestwem a Rosją, zatrzymały się na małym kółku, obwiedzionym zygawką linią, na Zamościu, potem zwróciły się na Warszawę. Rosjanie, jakby poprzedniej rozmowy nie było, zaczęli rozpytywać o życie w stolicy, o kobiety, zabawy, rewie, nastroje. Jurzyna, opowiedziawszy dokładnie o wszystkim, co mu było wiadome, obdarzony małym albumem na pamiątkę, w którym znajdowało się kilka wierszy, zaczął się żegnać.

— To poezje waszego poety, Mickiewicza — tłumaczył Bestużew. — Proszę wziąć tę drogą pamiątkę. — Był przyjacielem naszych przyjaciół.

Iwanow czekał z saniami. Wczesny zmrok zatopił Padół i Pieczerskie, ale okna domów świeciły jasno, ludzie z pochodniami, latarniami, kagańcami przewalali się z jednego krańca miasta na drugi, z jakiegoś pałacu wpływała skrzypcowa melodia tak piękna, że na ulicy zgromadziło się parę setek przygodnych słuchaczy, dalek huczała muzyka: balowano za wielkimi oknami pałacu. Iwanow milczał całą drogę, dopiero przed domem Worcellów powiedział:

— Spotkamy się u Wołkońskich na balu, prawda?

Dom, w którym mieszkali Worcellowie, położony był wysoko nad miastem. Bonawentura nie zastał ojca, lokaj oznajmił mu, że starszy pan poszedł z jasnie państwem z wizytą. Podporucznik oparł czoło o zimną szybę i spojrzał w dół. Ogniście świetliki tańczyły na tle ciemności, ludzie bawili się. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie Sapieżyńskie koszary w Warszawie, czwartaków przydybanych na czytaniu jakichś historii o Polsce, żołnierza Wołskiego... To sprytny człowiek. Z nim trzeba będzie pomyśleć o dostaniu się do majora, do twierdzy. Albo z Krępowieckim. Szymon, Szymon przecie podobnie mówił jak dzisiaj Pestel i jego towarzysze, czyżby porozumiewali się z sobą? Wyobraźnia podsunęła mu upajający smutkiem obraz: oto on, Bonawentura Jurzyna, wiedziony wokół Placu Broni, skuty, z takimi w rękach... Wzruszył się tym nie-rzeczywistym obrazem. Powieć się za sprawę, czyż może być coś wznioślejszego? Przypomniał sobie album. Wyjął go i zbliżywszy do świecznika czytał z uwagą:

Razem, młodzi przyjaciele! Choć droga stronna i śliska Gwałt i słabość bronią wchodu: Gwałt niech się gwałtem odejść, A że słabością łamać uczymy się za młodu...

Tadeusz Hołuj

Na modrym niebie załocili się nagle potrójne krzyże Sofijskiej Ławry, srebrny szron pokrywał jeszcze zielone kopuły cerkwi, nad górnym miastem, nad Pieczerskiem snuły się białe dymy z kominów. Kijów! Sanie Jabłonowskiego skreśliły w Pieczerskie, dzielnicę pałaców, gdzie mieszkał z dala od centrum interesów. Worcellowie kazali jechać wpraw na Padół. Setki sań pędziły ulicami, tłum ludzi w długich po kostki futrach, w krótkich kożuszkach, wypełniał całą dzielnicę, hałas panował tu jak na wschodnim jarmarku. Gromady faktorów, sprzedawców, pośredników, „łapaczy klientów”, kupców, szlachty, żołnierzy — ciągnęły w kierunku Izby kontraktowej; powietrze drżało od głośnych rozmów, toczonych w języku polskim, rosyjskim, ruskim, ormiańskim, niemieckim, francuskim, włoskim... rzekłbyś — w mieście, co na dni dziesięć stało się międzynarodowym centrum, pomieściły się języki, stroje i interesa.

Sanie Worcellów z trudem przeciskały się przez zgęszczone tłum, kozacy torowali drogę koniom, powiększając jeszcze wrzawę swymi okrzykami. Wreszcie dobiegło do celu. W wynajętym dla hrabiostwa domu wszystko było już przygotowane: nawet ogień na kominie rozpalono, nawet w sypialni palił się na mosiężnym trójnogu stożek kadzidła roznoszący woń podobną do kościelnej, mdłą. Dla obu Jurzynów przeznaczono pokoiki na dole, obite makatami, maleńki, ale ciepły. Kiedy kozak wniósł podróżne bagaże, podporucznik uściśkał ojca.

— No có, no co, Bonuś, wesoło ci? — spytał pan Kajetan.

— Wesoło. Jak tu pięknie, jak swobodnie...

Pan Kajetan roześmiał się. Wylizywał synowi sporą sumkę i wręczając ją przestrzegał:

— Baw się dobrze, jeno na siebie uważaj, pewno hycłów tu sporo, wydrwigroszów. W karty nie graj wysoko, w spory się nie wdawaj, cudzych żon nie uwodź...

Na drugi dzień udał się pan Kajetan do Izby kontraktowej. Na obszernym ganku przed budynkiem, na schodach, cisnął się różnobarwny tłum, żywo przypominający panów szlachtę walącą na sejmik. Spód futer, szub, widne były polskie stroje, co spowodowało przyszłeszone bicie serca Kajetanowego. Szlachta z Litwy, Rusi, Galicji i Królestwa oblegała tę giełdę ziemi, wódki i zboża, żywo rozprawiając o cenach, które nadal były katastroficznie niskie. Jurzyna obco się czuł w tym tłumie, jako że nie znał tu nikogo, ale widok wojewódzkich barw ośmielał go. Przeciskał się krok za krokiem ku sali, gdzie tłok panował nie mniejszy.

— Panowie bracia! — wołał jakiś głos — nie dajmy się. Ja am garstka pszenicy po tej złodziejskiej cenie nie puszcza!

— Sami do Odessy zawieziem! Gdzie jest faktor Abram? Gdzie jest faktor Abram?!... Sprzedaję dwadzieścia beczek szumówki, jest kupię?! Panowie, bileta na koncert! Bileta na koncert...

Kajetan Jurzyna dotarł wreszcie do owych upragnionych słupów podpierających sufit, o których powiedział mu Worcell. Pstrzyli się na nich przypominane karteczki z nazwami wsi do sprzedania lub puszczenia w dzierżawę. Pot perlisty wystąpił na czoło Jurzynie. Czytał uważnie nazwy i ceny, ale wszystko to nie było dla jego sa-kiewki. Przeliczał ruble na złote, medytował, nie wychodził najsumienniejsze obliczenia. Próżna żmuda, daremne zachody...

Za słupami huczały kramy z towarami. Przekupnie wykrzykiwali na głos ich zalety, targ szedł o każdego rubla, o każdą złotówkę. Brzęk pieniędzy, wymienianych na miejscu przez weksłarzy, ginał we wrzawie. Z drzewi wiodących do izb sądowych wychodzili dłużnicy i wierzyciele, czerwone gęby świadczyły o ostrości rozpraw.

— Waćpan na kupnem się ogłądasz — rzekł do Jurzyny wysoki szlachcic, ubrany w wyleńiałą szubę i lisią czapę. Ogromne wąsiska sterczały mu z obu stron twarzy jak brudnisiwe, spiczaste kolki, potężny nos białł z odmrożenia. — Mogę służyć, panie bracie, i radą i wioską — mówił dalej. — Wioska piękna, nie ma co, pięćdziesiąt dusz, dwór uczciwy, muiowany. Z posagu nieboszczki żony, bo w potrzebie gotówki jestem.

— A ogłosiłeś waść? — spytał uprzejmie Jurzyna.

— Ja na słupie nie handluję — oburzył się szlachcic. — Wioska koło Berdyczowa, a... przepraszam... Malinowski, Jan Piotr, z kim mam honor?

Jurzyna przedstawił się.

— Rzecz w tym, że kredytu szukam, gotówki potrzebuję. Dług mnie gniecie — pokazał szlachcic na izbę sądową — pilny!

Wtem drzwi izby sądowej otworzyły się i stanął w nich woźny z długą listą w jednej, wysoką laską w drugiej ręce. Malinowski, zwrócony tyłem do sądu, nie zauważywszy woźnego jął wylizywać wszystkie zalety swej wioski, raptem pociemniała mu twarz: sala ucichła. Malinowski odwrócił się gwałtownie i dopiero wówczas spostrzegł woźnego. Chciał się rzucić w jego kierunku, jednakże setka ciekawych zagradzała mu drogę. Woźny stuknął laską i w zupełnej ciszy jął czytać nazwiska tych, którzy mimo wyroku nie uiszcili swych długów.

— ...Malinowski, Jan Piotr — Malinowskiemu Michałowi rubli dwa tysiące trzysta trzydzięści...

W szlachcica jakby piorun strzelił. Wąsiska mu opadły, głowa przechyliła się na piersi.

— Jestem zgubiony — szepnął rozpaczliwie, podczas gdy woźny wyczytywał następne już nazwiska, każde po trzykroć, wyraźnie, głośno. Czarnowłosy Ormianin w długim chałacie i małej, haftowanej czapceczce na lśniących włosach, przecisnął się do nich.

— No, panie Malinowski — powiedział — trzeba było się upierać? Mówiłem: dziesięć rubli woźnemu, a powie tylko raz i to tak, ażeby nikt nazwiska wielmożnego pana nie słyszał. Teraz któż panu, panie Malinowski, da kredyt? Nawet na woźnego pan nie masz. Wstyd.

— Tylko w łeb sobie palnąć, taki dyshonor — zawołał szlachcic tak załośnię, że Jurzyna, litosiąc się zdjąć, wyciągnął parę dukatów.

— Pożyczam waści na słowo — rzekł serdecznie.

— Przyjmuję, panie bracie.

Ormianin skinął na kogoś w tłumie i w jednej chwili Jurzynę obkskoczyło kilkunastu pośredników. Nawet ich towarzystwo rozrzewniało go: takiego obrazka w Królestwie już nie spotkasz — myślał. — O, Polskę tu się czuje, Polskę dawną...

W tym czasie, gdy pan Jurzyna „oddychał polskością”, odnajdując na ziemi ukraińcej zapomniane źródło marzeń o szerokim, bogatym, nieskrępowanym życiu, syn jego, podporucznik czwartacki, zwiedziwszy wszystkie kramy, sklepy, wystawy, czując się zmęczony zapragnął chwili spokoju. Nie znając Kijowa pobłądził. Rozglądając się spostrzegł, że jakiś rosyjski oficer postępuje za nim, kryjąc twarz w kominierz płaszcz. Podporucznik zatrzymał się zdecydowanie prosić o wyrowadzenie na właściwą drogę, oficer gwardyjski przystąpił do niego i śmiejąc się odsłonił twarz. Był to rotmistrz Iwanow, którego Jurzyna poznał był na manewrach pod Brześciem, a widywał uprzednio w Warszawie.

— Cóż pan robisz w Kijowie? — zawołał. — Co za traf szczęśliwy? Czyżby pułk czwarty, znany z niespokojnych umysłów, przeniesiono karnie aż tutaj?

Bonawentura wyłumaczył, co go tu sprowadziło, szczęśliwy, że w obcym tłumie znalazł kogoś znajomego.



Lawra Pieczerska

Mal. Taras Szeučenko

śmiej i oklaski nagradzały wykonawcę. Iwanow poprowadził gościa korytarzem do pokoju zajmowanego przezeń i kolegów z gwardyjskiego pułku, konsystującego na Ukrainie. Pokój wywarł na podporuczniku wrażenie porządku i czystości. Pierwsze, co spostrzegł, to dużą mapę Królestwa i Rosji, inaloowaną ręcznie, widać jeszcze nie ukończoną, bo miast granicy pomiędzy oboma krajami białł czysty pas papieru. Trzech oficerów podniosło się zza stołu na powitanie Jurzyny, mierząc go niechętnym acz natarczewym spojrzeniem. Zdumiał się, gdy ujrzał, że są to oficerowie sztabowi: pułkownik gwardii, mały, wyrazistych rysów, o krągłej, podłyśiałej już głowie, małych ustach kształtu serca, przedstawił się krótko: Paweł Pestel — i zarekomendował obu swych towarzyszy, wahając się długo przy ich nazwiskach. Jurzynie zdawało się, że wymówił nazwiska: Sergiejew i Riuminskij. Pułkownik Pestel dotknął surduta: blyszczło na nim kilka krzyżów, co wzbudziło szacunek podporucznika. Sergiejew, podporucznik, usiadł rozpinając podbity futrem płaszcz, jakby właśnie zbierał się był do odejścia lub jakby dopiero co przybył. Był to piękny mężczyzna, postawny, o jasnych włosach na skronie szeszywanych, o wzroku przenikliwym. Jurzyna czuł, że mrozi go spojrzenie podpułkownika, zerknął na Iwanow szukając u niego wyjaśnienia tej osobliwej schadzki sztabowych oficerów. Na szczęście, trzecim Rosjaninem był podporucznik, przedstawiony mu jako Riuminskij, bar dziej do poety niż do oficera podobny. W jego ciemnych, aksamitnych oczach znalazł Jurzyna ośmienie i zachętę. Cienkie brwi podporucznika Riuminskiego, jakby pędzelkiem wymalowane na białym, okolonym wijącymi się włosami czoło, wygięły się w łagodny łuk, kiedy zapraszał do zajęcia miejsca.

Na stole leżały rozsypane karty, świeciło złoto, ale Jurzyna nie dał się zwieść pozorom: ci ludzie nie na szulerkę zeszli się tutaj i nie na szulerkę on sam tu przybył. Iwanow położył rękę na sercu: — Drogi poruczniku — tłumaczył ogólnie — nie miej mi pan tego za złe, ale nie przypadek tylko zetknął nas tutaj. Przyjechałeś pan wraz z pułkownikiem Krzyżanowskim, księciem Jabłonowskim, hrabiami Worcellami, wszak prawda?

— Tak, w samej rzeczy, ale cóż ja...

— Zaraz się wszystko wyjaśni. Przyjaciele — mocno podkreślił to

Siergiejew położył delikatną, białą dłoń na rękę Jurzyny. Riuminskij pośpieszył z dodatkowym wyjaśnieniem. Niech nie myśli, że mają w stosunku do niego jakieś ukryte zamiary. Po prostu muszą wiedzieć, co myślą ludzie w pułkach Królestwa — mówił, a czarne oczy migotały mu jak szmelcowana stal. Pułkownik Pestel, przywódca Stowarzyszenia Południowego, stary spiskowiec, twórca lewicowego, republikańskiego programu, zdradzał wyraźnie zdenerwowanie spotkaniem z tym młodym, czwartackim oficerem, którego nie znał. Nie bardzo wierzył Iwanowowi, który zapewniał, że w wszyscy czwartacy są równi majorowi Łukaszińskiemu. Spokojna zazwyczaj twarz raz po raz pękała dziesiątkami drobniutkich zmarszczek, sute buliony pułkownikowski drżały na ramionach, orderzy cichutko brzęczały. Nie uszło to uwadze Jurzyny. Cóż chcą od niego ci ludzie? Dlaczego go tu zwabiono? Zerknął na drzwi. Dochodziło zza nich skrzypienie kawalerskich butów, ktoś chodził tam i z powrotem, pilnował. Pestel jął bębnić palcami po stole i nagle odgłos ten przypomniał Jurzynie werble, werble ogłuszające, straszliwe, bijące ongiś na placu kaźni Łukaszińskiego.

— Panowie — powiedział kłepską francuszczyzną — panowie mówicie, żeście przyjaciele. Panów nie było wtedy, gdy mojego, naszego majora Łukaszińskiego, jak ostatniego zbrodniarza widlił skutego przed szeregami wojska. Konstanty...

— Zabijcie go — powiedział szybko Pestel. — Na co czekacie?

— Wszystko zło stąd pochodzi, z Rosji — wybuchnął Jurzyna. — Jak możecie mówić: „przyjaciele”!

Czarne oczy Bestużewa, przedstawionego przez Pestlę jako „Riuminskij”, znalazły się tuż przy oczach Jurzyny, jego palce ścisnęły mu ramiona.

— Uspokój się pan, poruczniku, uspokój się, przyjacielu — mówił cicho, namiętnie. — Jeżeli ci powiem, że „wszystko zło” jest wspólne, to samo u nas i u was, że siedzi w głowach monarchów-tyranów, w sercach arystokratów, naszych i waszych katów, katów ludu, jeżeli ci powiem, że są u nas iście, gotowe głowy te ściska, serca te przebić, uwierzysz?

— To... nieprawda — powiedział Bonawentura. — To nieprawda.

Pestel przerwał mu:

— Mówiłeś pan, poruczniku, o Łukaszińskim. Był ktoś w Warsza-

bytu Polski powinno wziąć górę nad prawem naszego dobra narodowego. Byliście wolni, możecie być wolni, ale nimi nie będziecie, choćbyście zjednoczyli wszystkie, dawniej wasze ziemie, jeżeli pozostaniecie przy dotychczasowych formach rządu. A wasi książęta i książątka tego właśnie się boją. Prędzej carowi rękę by podali niż jego zabójcom — republikanom. Jakież jest pana zdanie?

— Pułkowniku, doprawdy, ja nie jestem upoważniony do przeprowadzania takich rozmów.

— To wiemy, znamy tę pieśń — rzekł Sergiusz Murawiew-Apostoł, rzekomy — Siergiejew. — Chodzi nam o sprawdzenie, czy w pułkach, czy w pańskim pułku, czy pańscy towarzysze gotowi byłiby do powstania, zniszczenia carskiego nasienia, Konstantego, do połączenia się z powstaniem rosyjskim, oczywiście, gdyby takie wybuchło.

— Wojsko nienawidzi Konstantego.

— To mało.

— Wojsko nienawidzi tyranii.

— To już coś.

— Wojsko gotowe jest bić się do ostatniego.

— Za co? — wtrącił Pestel patrząc na mapę.

— Za wolność, równość, braterstwo.

— Jeżeli powiodą je ci, co dziś służą Konstantemu, niedaleko je zawiodą. Przyłączać do Królestwa majątki magnackie zza kordonu...

Bonawentura wspomnił ojca. Tak, on tu szukał Polski, tu!

— Czy w pułku czwartym jest dość oficerów, którzy by myśleli jak Łukasziński i jego towarzysze? Przynajmniej tak, jak oni? — dopytywał Pestel. — On teraz w Zamościu, w twierdzy. Czy nie ma nikogo, kto by porozumiał się z nim, aby on wpłynął na tych, co stanęli na jego miejscu w waszym Stowarzyszeniu i kroku śmiałego boja się zrobić? Czyż mi, Rosjanie, mamy ich uczyć, czym jest prawdziwy patriotyzm i miłość narodowości swojej? — dodał złośliwie.

— Trzeba, aby ktoś dotarł do majora? Czy to ważne? Bardzo ważne? — Jurzyna dotknął swych policzków. Były gorące.

— Tak, trzeba takiego — odparł Murawiew.

Bonawentura wstał poważny, surowy i wspominając kartkę, doręczoną majorowi do celi, oświadczył:

— Ja się mogę poświęcić, panowie.

książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki

Rozmowa o książce Leona Wudzkiego

Recenzja świadomie krzywdząca

L. — Wśród gremialnych wyrzekań na bledy i braki naszej krytyki, nikt jakos nie zwrócił uwagi na pewną jej charakterystyczną niedomogę: otóż przecóż ona prawie całkiem następne tomy większych całości. Zobacz, ile napisano o pierwszym tomie „Starego i nowego” Lucjana Rudnickiego, a znajdziemy co o dalszych. Coś zdumiewającego: podobnie było z Goliubiewem i Brezą. To mi wygląda na jakąś prawidłowość obowiązującą w krytyce; czyż Brandysa był chyba jedynym wyjątkiem.

G. — Wyjątek potwierdza regułę. I chcę ci przypomnieć, że ktoś z nas pisał o pierwszym tomie „Śladami czółwików” Hamery i pierwszej części większego cyklu Tadeusza Łopalewskiego...

L. — O obecnych nie wspominał. Zresztą uprzytomniło mi się to z innej okazji. Przeczytałem właśnie trzypięciową powieść Leona Wudzkiego pt.: „Jutro będzie lepiej...”

G. — I przypomniała Ci się recenzja z pierwszego tomu tej powieści drukowana przed paru laty w „Nowej Kulturze”.

L. — Właśnie, dotąd jedyna bodaj. Na dodatek była to recenzja w swych postulatach do-autorskich niesłuszna, bo maksymalistyczna. Recenzent, zamiast poczytać aż do drzewko wyrośnie, krzychał że brak mu korony...

G. — Wiacajmy do książki. Wyznam ci szczerze, że nie czytałem ani jednego tomu. Zlekłem się jej objętości; nie uznaję powieści ponad 250 stron druku. Ileż tego jest u Wudzkiego, z tysiąc, co?

L. — Bez mała, ścisłej 980. Ale sądzę, że twój wstręt do grubych i wielotomowych powieści jest dziwaczny. Pielegnując ten uraz umrzesz nie znając przynajmniej połowy arcydzieł literatury światowej. Mniejsza z tym jednak, zapewne i tak lamiesz w praktyce ową zasadę. Jeśli chodzi o powieść Wudzkiego dam ci jedną radę: przeczytaj ją od razu w całości, w tydzień powiedzmy, dozami po 100 — 150 stron na raz. Wtedy najlepiej uchwycisz jej szeroki oddech, zasmakujesz w narracji autora. Pamiątkaj nie mniejszymi dozami i nie większymi.

G. — Spróbuję, a warto?

L. — Warto, na pewno warto! Tylko tyko, żebyś wiedział czym są te trzy tomy. Jeżeli będziesz szukał w nich tego czym nie są — możesz się rozczarować.

G. — Ba, powieść to powieść...

L. — Otóż właśnie nie powiedziałeś nic nadgrodne. Termin „powieść” przypomina mi wótek bzdur: rodzaj powieści jest mnóstwo. Spróbujmy więc określić specyfikę „Jutro będzie lepiej”. Krotko zorientuję cię w zawartości książki. Akcja toczy się głównie w Porębie, dużej osadzie fabrycznej położonej w przemysłowym okręgu Kielecczyzny. Czasokres: od 1902 lub 1903 do 1924 — 1925, a więc przeszło dwadzieścia lat. Akcja powieści skupia się wokół losów głównego bohatera Janka Zaklickiego: moment jego narodzin rozpoczyna ją, jego wyjazd z Poręby do Związku Radzieckiego — zamyka. Prócz niego dziesiątki postaci: ojciec, matka, dwaj bracia (zwróć uwagę szczególnie na Stacha), siostra, koledy, sąsiedzi, ludzie z którymi się stykał, towarzysze pracy, a potem towarzysze partyni. Zwykle dzieje robotniczego dziecka: pogranicze nędzy, śmierć ojca po wypadku przy pracy, burówka matki, służba u kulaka, terminowanie u krawca, pomoc starszemu bratu, szkoła, konieczność porzucenia jej, praca w warsztatach kolejowych. Pierwsza wojna, okres Rad Delegatów Robotniczych, przymusowy udział w wojnie 1920 r., dźwierzanie polityczne i samokształcenie, działalność w szeregu Związku Młodzieży Komunistycznej i KPRP. Siła powieści tkwi w jej autentyczności, w oparciu o dokładną znajomość opisywanych wypadków. „Jutro będzie lepiej” przywodzi na myśl domy górskie budowane z ciocienych jodeł.

W tym tkwi siła powieści, z tego wynika jej słabe strony. Nie ma w niej schematyzmu, ilustratorstwa, z dogłębną znajomością realiów wynika jej prawdziwość. Nie znajdziesz tutaj tak fałszywego a jakże rozpowszechnionego w literaturze podziału na życie prywatne i polityczne, owego przechodzenia z jednej płaszczyzny na drugą, rysy wzdłuż której pękają bohaterowie tyłu naszych współczesnych powieści. Bohaterowie Wudzkiego są naturalni, każdy składnik ich działalności jest tak samo przekonujący, czy wtedy, gdy kłusują się o buty na zimę, czy kiedy omawiają sprawę strajku czy manifestacji proletariatu. A przy tym hierarchia ważności spraw nie ulega nadziej zakłóceniu. Ale jednocześnie: brak powieściowej zawrotności konstrukcyjnej, spieć dramatycznych, brak spantowania poszczególnych rozdźwięków czy partii; nie mamy przy lekturze poczucia, że wszystkie fragmenty są nieodzowne, niezbędne. Jeśli przywołę znane przy-

kłady, powiem: „Jutro będzie lepiej” bliższe jest „Starego i nowego” Rudnickiego, niż „Pamiętki z Celulozy”. Nazwałbym książkę Wudzkiego zbeletyzowanym, zobiektywizowanym pamiętnikiem. Nie ma sensu zastanawiać się ile tu autobiografizmu, na ile Janek Zaklicki to autor. To nie jest ważne. Istotne wydaje mi się to, że typ narracji jest opowieściowy, pamiętnikarski, acz ujęty powieściowo.

G. — Czy chcesz powiedzieć, że niepotrzebnie?

L. — Nie jestem prorokiem, oceniam to, co jest. Autorowi zdarzy się dać spieć dramatyzmu, spointowanie akcji (zwróć uwagę na jakże wymowną rozmowę starego chłopka z żołnierzem w 1920 r. — tom II, str. 319), ale takie spiecia nie stanowią zworników całości narracji, a tylko trafiają się, właśnie trafiają się, tak jak w życiu, tak w pamiętniku.

G. — Czyżby tytuł był zatem metaforą bez pokrycia?

L. — Nie, tak nie jest. Zagalopowałem się może trochę. Ależ wiesz: jedno nie przeszkadza drugiemu. Wielka metafora nie jest właściwa jedynie powieści, da się wykryć i w innych gatunkach literackich. Mysł przewodnią powieści Wudzkiego przeprowadzona jest konsekwentnie, ale w poprzednio zasygnalizowanym sposobie narracji. Zawiera się ona w stwierdzeniu: *m a r z e n i e* „jutro będzie lepiej”, staje się dla głównego bohatera i jego współtowarzyszy wykonywaną w walce p e w n o ś c ią. Znajdziesz to powiedziane expressis verbis w rozmowie starej Zaklickiej z Jankiem. To jest klucz do całości książki (tom III str. 245). Zaklicka mówi: „Żyło się nadzieją tylko... Na lepsze jutro... Wierzyłam ciągle i wierzę, że się kiedyś poprawi, bo inaczej to i odechciałoby się tak żyć”. „Masz rację — brzmiał odpowiedź syna. — Ja też tak myślę... Nie tylko myślę, ja jestem pewien, że jutro się poprawi. Ale na to lepsze jutro nie wystarczy tylko czekać, trzeba się o nie bić, trzeba bić sobie wywalczyc”. I dalej: „Partia rozbudziła we mnie nie tylko nadzieję lepszego i piękniejszego życia, ale pokazała też drogę do niego, przekonała, że życie to jest do zdobycia”.

Autora interesuje szczególnie sprawa stosunku różnych ludzi do owego „jutra”. Nieświadomieni mówią: „Biednym ludziom zawsze było ciężko. Byli i będą biedni i bogaci, biedni — na dole, bogaci

Autora interesuje szczególnie sprawa stosunku różnych ludzi do owego „jutra”. Nieświadomieni mówią: „Biednym ludziom zawsze było ciężko. Byli i będą biedni i bogaci, biedni — na dole, bogaci

Autora interesuje szczególnie sprawa stosunku różnych ludzi do owego „jutra”. Nieświadomieni mówią: „Biednym ludziom zawsze było ciężko. Byli i będą biedni i bogaci, biedni — na dole, bogaci

Autora interesuje szczególnie sprawa stosunku różnych ludzi do owego „jutra”. Nieświadomieni mówią: „Biednym ludziom zawsze było ciężko. Byli i będą biedni i bogaci, biedni — na dole, bogaci

Autora interesuje szczególnie sprawa stosunku różnych ludzi do owego „jutra”. Nieświadomieni mówią: „Biednym ludziom zawsze było ciężko. Byli i będą biedni i bogaci, biedni — na dole, bogaci

— na górze”. Zgorzkniali: „Za pieniądze książd się modli, za pieniądze ludzie podli”. „Społeczeństwo składa się z małych i wielkich złodziei i jeśli chcesz żyć, musisz kraść”. Ci, którzy cierpią i marzą, a nie walczą: „Człowiek ciągle się czymś ludzi. Moja matka też tak czekała, aż dorosniemy. Dorosiliśmy i u każdego śmierdzi nędzą, ze wstydu. Już tak widocznie musi być”. I wreszcie lumpie u dna ludzkiego spodenia: „Na wszelkie skrupuły, panie Józefie, pluń pan z góry. Grunt to forsą. Każdy goni tylko za forsą, a reszta towszystko lipa, naciąganie naiwnych frajerów. Każdy ciągnie tylko w swoją stronę i kto mocniej złapie, ten lepszy”. „Według mnie człowiek powinien zawsze trzymać z silniejszego. Tyle naszego, co użyciem na tym świecie”.

Owe postawy — których założenia przytoczyłem — znajdziesz w postaciach powieści, zarysowane poprzez działania ludzkie. Wudzi pokazuje, że są różne drogi wyboru: najbłyszczącą wybierają walkę o zniszczenie świata, który „wyziębiał, mroził do szpiku kości wszystkich, co w ludziach było najlepszego”. Wudzi mówi o tym nie tylko w cytowanej powyżej rozmowie Zaklickiego z matką, o tym mówi całą swą książką, jej wielką optymistyczną metaforą: *w y w i e l e p s z e j u t r o*.

G. — Zakończysz patetycznie. Cóż jeszcze powiesz?

L. — Mam dużo do powiedzenia, ale musimy kończyć rozmowę. Ograniczę się do kilku uwag. W pierwszym tomie autor wypowiedzi postaci notuje w fonetycznej wymowie. W druku wygląda to tak: *umar, dzień dobry, jabka, późni, sie, cie, powi, piniądze, tyż, więcy, lepi, wzionć pore groszy. Przyznasz, że fatalnie. Całe szczęście, że w następnych tomach zrezygnował z takich eksperymentów, chociaż w drugim wydaniu należy tom pierwszy przepracować językowo. Darowałbym autorowi takie nazwiska bohaterów jak: Brzoza, Kowalski, Szewczyk — to są nazwiska dosyć pospolite, ale jak jeszcze u-raczyl mnie Gałczyńskim i Kaluszyńskim — to muszę zaprotestować. Oni sami piszą książki, mają więc szanse uwiecznienia się i tak. Poza tym zauważona niekonsekwencja: dlaczego Tomasz Arciszewski występuje w trzecim tomie pod własnym nazwiskiem, a w drugim jako Ciszewski — tego nie umiem sobie wytłumaczyć.*

Ludwik Grzeniewski

PAWEŁ JASIEINICA

„— oraz inni...”

A co się tyczy owej „pointy, sygnalizującej procesy typowe”, to owszem, narrator cieszy się bardzo, iż do miasta nie będą już przyjeżdżać „nadziami forsą, przeżyci nababowie”. Powiada nawet całkiem wyraźnie: „Ta myśl — to był głos g n i e w e j z a d r o ś c i o dziewczynę. „Bo przecież ja — myślałem — nie jestem turystą, nie jestem nawet kracuszem. Jestem dla tego kraju i jego spraw, dla i u d z i t u t e j s z y c h i p e j z a d z u *” przyjechałam”.

Bardzo ciekawe — obaj krytycy jakby się umówili. Zaden nie zauważył iż „Scena balkonowa” posiada dedykację, która brzmi: „Wojtkowi Zukrowskiemu”. Identyfikacja — w tym samym przyjaźnym tonie utrzymaną dedykację miało „Lato w miasteczku” Tadeusza Borowskiego, opowiadanie z tomu „Kamieniny świat”. Mowa tam była o młodym księdzu, który spacerował w ogródku i pilnie czytał księgę w skórzanej oprawie, na nie zgola nie zwracając uwagi. „Czasami tylko podnosił znad książki zmęczone oczy i spłatając na brzuchu gładkie, o złotawym odcieniu dłoń, przeżnię prostował się i zwracał ramię, nieco puculatowatwarz, okraszona dobrośliwym półumiechem, ku galerijkom na pierwszym piętrze...” gdzie... „pod lekkim racunym dachem delikatnych, mauretańskich galerijk, obciążając grubym, białym sznur, wisiały półkolem przejrzyste i powiewne, różnobarwne — seledynowe, karminowe, niebieskie i czarne części damskiej bielizny: koszule, staniczki, pijamy i pocioski — i jakby ktoś w nich przebierał dla zabawy, kobysaty się łopodnie na sznurze, potrącane ciepłym wiatrem”.

Można chyba przypuszczać, że „Scena balkonowa” — podobnie jak i „Lato w miasteczku” — poczuwa się do pokrewieństwa nie tylko z moralistyką czy dydaktyką, ale po prostu z satyrą. I to, żaladżca u Czeskiej, z jej życzliwą, przyjacielską odmianą.

*) Podkreślenia moje — P. J.

Najbardziej rozpowszechnioną cechą współczesnych debiutów literackich jest ich konwencjonalność. Ten, kto ma do czynienia z maszynopisami powieści i nowel, napływającymi masowo do redakcji i wydawnictw, wie, że w tych własnych skryptach, których niejednokrotnie nigdy zecer nie weźmie do ręki, problemy współczesnej literatury załamują się w sposób szczególnie drastyczny i absurdalny. Satyrycy, którzy wciąż ochoczo parodiują sztuki i powieści produkcyjne-wiejskie, nie potrzebowałby się tak wysilać, gdyby znali troche tych prac. Zaden z nich nie wymyśliłby świata tak odległego od rzeczywistości i tak precyzyjnie wypracowanego z formulek, tak ponurego i groteskowego zarazem. Nikt tak poważnie i dokładnie nie łowi wszystkich prawideł reglamentujących sztukę, jak pisarz początkujący, a mało utalentowany. Reglamentacja ułatwia start. Podanie się dyscyplinie rozwiązuje kompleksy.

W „Opowiadaniach świętokrzyskich” (Kazimierza Dębickiego *), które z obowiązku recenzenta przyszło mi przeczytać, zjawisko powyższe występuje ze szczególną jaskrawością. Widać, że autorowi nie brak doświadczenia, zmysłu obserwacyjnego, a nawet pewnego temperamentu pisarskiego. Akcja wszystkich opowiadań rozgrywa się na kieleckiej prowincji w czasie okupacji i po wojnie. I niewątpliwie czytelnik coś łapie z tego świata zawiązanym konfliktów politycznych, machinacji finansowych, rozgrywek personalnych i ewolucyjnych krzyżówek. Ma się wrażenie, że jest to świat prawdziwy, że owa zabita deskami cicha a straszna prowincja tak właśnie wyglądała i wygląda.

Tym bardziej więc drażni zależność autora od konwencji polityczno-literackich. Kiedy konwencji tym ulega pisarz, który nie ma żadnego materiału i w którego książce byłoby zupełnie pusto, gdyby nie pomoc owych konwencji — to, ostatecznie, nie żal. Ale żal bardzo, kiedy pisarz, który naprawdę może dużo opowiedzieć, niepotrzebnie swój świat schematyzuje. Ładnie to nazywam — „schematyzuję”, ale myślę po prostu „buję”. Tak, to co się nazywa ślicznie schematyzmem nie jest niczym innym, tylko właśnie pospolitą bują.

Czytelnik „Opowiadań świętokrzyskich” wciąż kręci głowę z niedowierzaniem. Niby chce wierzyć, a jednak nie jest zupełnie przekonany.

Np. w opowiadaniu „Wigilijny wieczór” młody żołnierz niemiecki, który właśnie kraży z patroliem po mieście i szuka zbiegłej dziewczynki żydowskiej, znajduje dziecko

*) Kazimierz Dębicki: Opowiadania świętokrzyskie. „Czytelnik” 1954. Str. 246-1.

przy wigilijnym stole i po głowie je gładzi. A że patroliem dowodzi „herr Sturmführer”, czyli — żołnierz należy do SS... Czytelnik jest wzruszony, ale głową kręci: to zbyt piękne.

W opowiadaniu „Kurzawa” wyraźają jak spod ziemi polscy i radzieccy żołnierze właśnie w chwili, gdy faszysty mają nacisnąć spusty automatów i rozstrzelać swych więźniów. Czytelnik głową kręci...

W opowiadaniu „Sprawa Nakwaskiego” — urzędnik hitlerowski tępi Polaków — spekulantów a broń małorolnych chłopów i drobnych kupców, wieczorem zaś w tajemnicy przed wszystkimi pisze list do żony, w którym skarży się na Gestapo i spekulantów. To też zbyt piękne...

W opowiadaniu „Pogodny dzień” bohater opowiadania traci nogę w potyczce z Niemcami, potem mało co nie zostaje zabity w potyczce z faszystowską bandą, a potem walczy o usprawnienie transportu, o akordy, o reformę w L.Z.S. — wychowuje cudze dziecko, jest dumą sekcji motorowej, zdobywa siódme miejsce w biegu płaskim na nartach, nieźle miejsce w biegu zjazdowym, a nawet do własnej protezy ma aktywny stosunek, bo wynalazł jakieś usprawnienie ortopedyczne, za które dostał 10.000 złotych nagrody. Czytelnik aż emoka z zachwytu nad takim człowiekiem, ale głową bardzo kręci: to zbyt piękne.

W tymże samym opowiadaniu występuje, a „nawrócona” Lenka nie proszona przez nikogo składa moralną samokrytykę na publicznym, wielkim zebraniu. Za to, że dziecko miała z kanalią, za to, że bohatera Wiesiołka odtrąciła etc. etc. Czytelnik by się chciał spytać autora: styszeleś kiedy kolego taką samokrytykę?

Właśnie autorowi „Opowiadań świętokrzyskich” warto by zadać takie pytanie. Są pisarze, których nie ma co pytać, bo wiadomo, że wszystko zmyslili i wcale się nie troszcza o to, co się na świecie może przydarzyć, co zaś nie. Ale u Dębickiego tyle prawdziwych postaci, tyle autentycznych afer, tyle atmosfery, tyle znajomości terenu i jego spraw, że budzi mu darować niesposób.

I jedno jeszcze jest ciekawe: wydarzenia stanowiące kanwę fabularną tych opowiadań są właściwie bardzo pasjonujące. Np. w opowiadaniu „Kurzawa” historia jest po prostu sienkiewiczowska: faszysta uwieźlił narzeczoną bohatera, bohater dowiadywał się o tajemniczym obozie w lesie, pedzi „co kon wyskocz” z żołnierzami, a tamta, już oślepią czeka na śmierć. I już, już z faszystowskich automatów paść miały śmiertelne strzały, gdy nagle... Tymczasem opowiadanie to jak i pozostałe zresztą są śmiertelnie nudne. Autor nie umie zainteresować czytelnika, nie umie mu wzmóc prawdziwości wydarzeń. No cóż, to są podstawowe umiejętności pisarskie, bez których naprawdę trudno myśleć o pisaniu.

Poza tym autor jakoś sam nie ceni swych bohaterów i ich spraw. Np. w opowiadaniu „Stefka” mamy do czynienia z dziewczyną, która z miłości i wielkich, tragicznych przeżyć dostała obłędu. W opowiadaniu nie ma śladu współczucia dla nieszczęśliwej. Cały nacisk opowiadania jest położony na brudne, kulacko — NSZ-owskie machinacje. Nawet jej niedyskretny ukochany, wymarzony królowiec, partyzant, (oczywiście AL-owiec, kiedy po wojnie już zobaczył ją

obłąkaną „s p o j r z a ł n a n i a j a k b y z d z i w i o n y r a d o ś c i ą w j e j g ł o s i e i r z e c z o w o p o w i e d z i a ł b ę d z i e m y z a k ł a d a ć s w i a t ł o”. Tak powiedział, bo był elektrykiem i właśnie przyjechał z ekipą. A potem się chwilę zadumał nad losem dziewczyny (wobec której postąpił zresztą jak swinią) i wypowiedział sentencję na temat kulaków. Jakież to niesmaczne i jakie nieprawdziwe!

Albo: w opowiadaniu „Pogodny dzień” powstała niesłychanie skomplikowana sytuacja psychologiczna: ukochana głównego bohatera (tego z udoskonaloną protezą) ma z kanalią dziecko, które zostawia i ucieka. Dziecko bierze do siebie bohatera z protezą i wychowuje. Pomaga mu w tym cicha, dobra dziewczyna, która kocha się w bohaterze i przywiązuje się do dziecka. Tamta się tymczasem opamiętała i chce dziecko zabrać. Dowiaduje się, że bohater je chowa, więc wybuchła miłością do niego i wraca. Bohater musi cichej i dobrej dziewczynie dziecko odebrać i tamtej, którą sam kocha — oddać. Otóż ta zawiła i naprawdę trudna sytuacja zajmuje tylko małą część uwagi autora, który natomiast cały czas pasjonuje się usprawnianiem transportu, dokonywanym przez bohatera z protezą, reorganizacją LZS-u, zakładaniem świetlicy itd. Czytelnik czeka i czeka o będzie, kiedy się te dwie kobiety spotkają, co robi bohater, a tymczasem autor częstuje go tasiewiczowymi wywodami w tym mniej więcej stylu:

„Wynikały z tego jasne wnioski, wcale jednak nie łatwe w praktycznej realizacji. Należało bowiem przekonać kierowników placówek i fabryk, że w szybkości ładowania tkwiły dla przedsiębiorstwa bezpośredni, w postaci przyspieszenia planów produkcyjnych, a więc i wzyki zarobków dzięki premiom, które dostaną nie tylko robotnicy, ale i kierownictwo. To samo odnosilo się do robotników — ładowaczy, których należałoby przy tym przenieść na plac akordowa, skrupulatnie jednocześnie normując przeciętny czas załadunku i rozładunku w każdym asortymencie w aró w”.

Po tym cytacie, którego bynajmniej nie szukam, ze specjalną złośliwością, dopiszę tylko jedną jeszcze uwagę: autorzy i wydawcy, litości dla czytelnika! Trzeba pamiętać, że czytelnik zabiera się do książki po ośmiu godzinach pracy. Trzeba dbać przede wszystkim o to, aby się nie nudził i nie męczył. I jeśli ma się do wyboru albo skrzywdzenie autora, który jest utalentowany i ewentualnie może się „rozwinać”, albo podrzucenie na półki księgarskie nudnej książki, którą ktoś kupi i której kupna będzie żałował — jeśli taki wybór ma się przed sobą — trzeba skrzywdzić raczej autora. Tak jest sprawiedliwie, bo wszyscy pracujemy dla czytelnika.

Andrzej Kijowski

Opowieści reportażowe

Niech nikt nie myśli, że reportaże — to sztuka łatwa. Każdy, kto się nim zetknął — choćby jako systematyczny czytelnik — ten wie, że chociaż życie na każdym kroku wprawa się pisarzowi, a to z ciekawą, pasjonującą fabułą, a to z pointą, jakiej dajmo szukać nawet u mistrzów, a to z nieoczekiwanym, zaskakującym widokiem spraw tak już na pozór znanych, że aż zdawałoby się banalnych — to przecież wykorzystanie tych okazji i podnieć wymaga nieposiadnego talentu, intuicji artystycznej, dojrzałości. Ostatecznie — historia literatury uczy, że nie ma oszłej granicy między tymi dwoma typami twórczości.

Tom Jerzego Łov'la nosi podtytuł „Opowieści reportażowe”. Nie wiem, do kogo należy autorstwo tego terminu, ale w każdym razie — czy autorem jego jest Łovell czy kto inny — termin ten w ogóle był potrzebny, a w szczególności do określenia gatunku literackiego „Ślad na stronie drodze”. „To rzeczywiście jest pogranicze. Pogranicze — na którym autor utrzymał (przynajmniej w paru swych najlepszych opowieściach) charakterystyczne cechy tych dwóch odrazów pisarstwa: dokumentalność, pełnię wiarygodności — z sugestywnością uogólniającą, lecz indywidualnym obrazem. Tymi najlepszymi opowieściami są bezspornie: „Gdzie diabeł strzela na dobranoc”, „Ślepi”, „Zwykłe dzieje”.

Szczególnie „Ślepi” frapują ładunkiem dramatyzmu, subtelnym

wycuciem komplikacji ludzkich uczuć, typem swego niezdawkowego optymizmu. Miłość ojca do ślepego dziecka, która wyraża się — lekkiem przed próbami leczenia, by nie okazały się daremne. Miłość prawdziwa, głęboka, choć nierozumna, przedstawiona tak, że czytelnik nie wątpi w nią ani na chwilę. Siła tego uczucia paraliżuje nawet pozytywne bohatera opowieści, który chce leczyć dziecko choćby wbrew ojcu. Problem wiarywania się w cudze życie, w najbolsze, najniemniejże sprawy rodzinne i jednostkowe, zbyt często rozwiązywane przez pisarzy płytko i mimochodem — tu został ujęty poważnie i trafnie... A czy w rezultacie ślepy synek Jarzębaka zaczął widzieć? Przyzwycajeni już do pewnego typu point dziwny się, że jednak... nie. Optymizm jest tu głębszy: ojciec zyskuje pewność, że on jego śmierci ślepego synowi nie grozi nędza i krzywdą, że będzie on mógł urzyć się, pracować.

Soltys Półtorak z opowieści pt. „Gdzie diabeł strzela na dobranoc”, niepatetyczny bohater z zapadłej wsi podjasielskiej; biedniak Partvka ze „Zwykłej sprawy” — to artystyczne sukcesy Łovella.

Artyzm widać tu zresztą nie tylko w rysunku postaci, ale przeważnie i w starannej, ładnej prozie, czasami bardzo nawet ambitnej: tak jest w opowiadaniu „Gdzie diabeł strzela na dobranoc”. Autor był tu w niebezpieczeństwie: rozbudowana apostoła wstępna, powracająca jak refren, łatwo mogła okazać się zbędną i sztuczną — jest jednak potrzebna, przekazuje czytelnikowi

(Dokończenie na str. 7)

*) Leon Wudzi: „Jutro będzie lepiej” powieść w trzech tomach „Kanał i Wiedza”. Działalność, 1951, str. 285; II część październik 1953, str. 368; III w walce, 1954, str. 328.

*) Jerzy Łovell: Ślady na stronie drodze. Opowieści reportażowe. Wydawnictwo Literackie, Kraków (1954).

Paweł Jasienica

Z tradycji satyry rosyjskiej

I. A. KRYŁOW

Słoń wojewodą

Rządzić, być znaczną siłą,
Jeśli rozumu chybiło,
Złe jest, chociażby w piersiach dobre serce było.

Słońa raz wojewodą w borze uczyniono.
Słońe z rodu mądre pono.
Lecz się nie każdy na swych ojców poda.
Nasz wojewoda
Z rodu był gruby,
Lecz z rozumu niskiej próby,
A przy tym muchy nie zdepcze rozmyślnie.
Otóż co się stało raz?
Padanie owiec wpłynęło na piśmie:
Skarga: „Wilki już całkiem zedrą skórę z nas.“
„Lotry!“ — słoń krzyczy — „Co za gwałt znaw świeży?
Kto dozwolił wam grabieży?“
A wilki: „Czyś nie przysiał, ojcze nasz łaskawy,
By się wilk każdy grzał zimą w tulupe,
Który mu z drobnej owce przypadnie dostawy?
Owce się skarżą, bo głupie.
Wszak starczy, że po skórze odda każda siostra.
Więc skądże ta skarga ostra?“
„No, no, dobrze,“ — słoń rzecze — „tylko uważajcie!
Szachrajstw nie zniosę ni zbrodni.
Na okrycie z nich sobie po skórze żdzierajcie,
Lecz poza tym wara od nich!“

Tłumaczył Stanisław Komar



Rys. Maja Berezowska

W KINIE I GDZIE INDEJ

Polemika o gust

Zdarzyło mi się już kilka-krotnie w ciągu przeszło rocznej działalności felietonowej stawać twarzą w twarz ze zjawiskiem, które wydawało mi się zasakujące. Otóż po napisaniu felietonu o takich np. austriackich „Zagubionych melodiach“ czy polskiej „Przygodzie na Mariensztacie“ otrzymywałem listy od Czytelników pełne oburzenia i sprzeciwu wobec też, które mnie wydawały się oczywiste, listy nie tyle atakujące moją argumentację — bo tych było niewiele — ale nasycone zupełnie przeciwną moim wywodom atmosferą emocjonalną, reprezentującą nie tyle inny łok rozumowania, ile odczucia dzieła sztuki. Były to, jak sądzię, listy ludzi, z którymi różni mnie nie tyle światopogląd, ile gust, ten gust, o którym, w myśl łacińskiego powiedzenia, nie wolno dyskutować.

Różnicę gustów między ludźmi nie jest oczywiście najmniejszym z nieszczerść, wydaje mi się również, że nie ma publicysty i krytyka sztuki, który by z tym zjawiskiem się nie zetknął w swojej pracy. Gust — upodobanie lub też niechęć np. do dzieł Standhala, czy muzyki Bacha, jest rzeczą tak dalece subtelna, że istotnie jest to teren, na którym obowiązują jak największa tolerancja. Nie zgadzam się jednak, aby o gustach nie należało dyskutować, nawet sprzeczać się ostro. Ostatecznie zadaniem krytyki, poza ingerencją w sprawy zasadnicze, to znaczy ideowe, jest również walka o gust, smak odbiorcy, jest odzwagą narzucania swojego widzenia dzieła sztuki publiczności, umiejętność kaptowania dla tego widzenia stroniów. I, rozumując dalej, jakże płynna nieraz jest granica, gdzie kończy się zasadniczy front walki ideowej o sztukę, a zaczyna spór gustów, gdzie kończy się walka klas, a zaczyna walka gustów.

Istnieją gusty, których źródła tkwią najwyraźniej w klasycznym

spojrzeniu na sztukę. Przypomnijmy sobie „urocze“, „milusie“ kotki ze wstążeczką na szyi, które wymalowane na okrągłym tondzie pokazał w mieszkaniu Zochy Czerwaczkowej reżyser Kawalerowicz w „Celulozie“. Te kotki plus tango „Jesienne róże“, płynące z harcącego patefonu — to prawie pełna klasowa charakterystyka pani majstrowej tak samo, jak monstrualnych rozmiarów półpornograficzne obrazy w najgorszym stylu w mieszkaniu bohatera „Poddanego“ z filmu Standtego, to prawie pełny obraz mentalności pruskiego burza. Wyda mi się, że w obu tych wypadkach mamy do czynienia z klasowym gustem mieszczaństwa, nasyconym idealami kontrrewolucyjnej „przytulności“ i drobnołódzkiego dorobkiewiczostwa. Walka z tym gustem jest walką jak najbardziej ideologiczną i niczego nie zmienia tu fakt, że podobne rek-wizyty znaleźć możemy również w mieszkaniach klasowo uświadomionego proletariatu. Nie jest bowiem dla nikogo tajemnicą, że przez długie lata sacył się do środowiska robotniczego drobnomieszczański gust jako wyraz czegoś „lepszego“, czegoś zasobniejszego nawet wtedy, gdy pomiędzy przyjmującymi ten gust z rąk drobnej burżuazji robotnikami, a samą drobną burżazją istniała w świadomości klasowa barykada.

Spytacie skąd te rozważania? Otóż stąd, że pragnę raz jeszcze wystąpić przeciw gustowi niektórych widzów kinowych, tych mianowicie, którzy ze słowami uznania opuszczali kino po obejrzeniu „Preludium sławy“, filmu francuskiego reżysera Lacombe'a. I chcę, z drugiej strony, wyrazić pełną solidarność z tymi widzami, którzy z równymi słowami uznania wychodzili z innego francuskiego filmu — „Dzielnica cudów“ reżysera Vernay'a.

Nie podobano mi się, odrzucało wprost to „Preludium sławy“, mi-

mo że wysłuchałem przy okazji ładnego koncertu Liszta z ekranu. Nie podobano mi się już sama koncepcja tego filmu, fałszywa od początku do końca.

Otóż film jest historią małego chłopca, Roberto Benzi, który objawia niesamowity wprost talent muzyczny i w wieku lat bodajże siedmiu czy dziewięciu dyryguje wielką orkiestrą symfoniczną. Talent jednak młodego chłopca zostaje w przebiegłym sposób wyszukiwany przez chciwych menażerów. Zamysł stopniowo rozwijać uzdolnienia chłopczyka wykorzystuje się go, mimo sprzeciwów jego opiekuna — wystawionego i mądrego muzyka — jako coś w rodzaju tresowanej malpy, każąc mu koncertować ku uciechu publiczności na wielkich publicznych występach. Autorzy filmu pozornie potępiają owych menażerów. W finale filmu chłopczyka samowolnie gra zamiast komponowanych specjalnie dla niego kiców muzycznych, koncert Liszta. Ale potępienie to jest tylko pozorne, jeśli przypomnimy, że Roberto Benzi — to postać autentyczna i że autentyczny jest — nie pokazany na ekranie — wypadek, gdy orkiestra opery w Paryżu odmówiła koncertowania pod batutą cudownego dziecka, wychodząc ze słusznego założenia, że może się ono jedynie nauczyć, nigdy zaś zrozumić, Mozarta lub Beethovena. Potępienie owo pozorne jest również dlatego, że cały film oparty jest właśnie na bezwstydnym mizdrzeniu się wytresowanej i ucha-rakteryzowanej dla chłopaczki z Murilla młodzieńkiej malpki. Ileż tam tych wzruszających a bezzwrotnych miniek „pód publicznie“, ile wdzięczenia się, ile błazenady! I ani jednego prawdziwego gestu, prawdziwego przeżycia torturowanego przez dorosłych i beztłonie maniórowanego przez otoczenie dziecka.

Zawsze botałem się dzieci na ekranie, ale potrafię je również cenić i wzruszać się nimi, jeśli pozwala

się im być sobą, wygrywa się ich naturalność, ich prawdziwy świat. Dzieci to też ludzie, tylko trochę bardziej bezpośredni, trochę mniej opancerzeni na zewnątrz niż dorośli, lecz przeciw ludziem godni szacunku, choć budzący uśmiech. O tym przekonał nas raz jeszcze reżyser Vernay swoim filmem „Dzielnica cudów“. Film ten to pełne wdzięku przeżycie artystyczne, niezbyt może przeładowane treściami myślowymi, lecz przemawiające przede wszystkim świeżością, bezpośredniością widzenia. Zarówno dzieci w tym filmie — grupa młodych bohaterów — jak i ich otoczenie nie potrzebują pozycji wdzięczenia się. Zamiast wiazać im na szyi kokardę, jak to zrobił w swoim filmie Lacombe z Robertem Benzi, Vernay pokazał ich takimi, jakimi są naprawdę, wydobywając z nich nieklamany poezję, nie zaś narzucając im od zewnątrz mieszczańskie smaczki. Poza tym pokazał on w filmie bardzo piękną Paryż. Fotografując kilka właściwie tylko uliczek w okolicach kościoła Sacré Coeur stworzył klimat dzielnicowy pięknej i konkretnej, namacalnej w szczegółach, radosnej mimo wszystko dzielnicy ubogich ludzi. Prawdziwej dzielnicy cudów.

Nie będę się rozwodził dłużej nad samymi filmami. Myślę, że można uwagi te podsumować bardzo prosto: film Lacombe'a dlatego wydał mi się filmem idącym na lep mieszczańskiego gustu, że zamiast patrzeć na życie takim, jakim ono jest, przydaje mu tanie ornamenty maniery. Mieszczaństwo już od dawna nie cieszy się światem w jego prawdziwej szacie. Świat zewnętrzny dziła na jego niekorzyść, ucieka więc ono do swoich mitów, kotków, świecidełek, skłamaney zasobności i przytulności fałszywnych wzruszeń.

Nam podoba się świat rzeczywisty. Ileż w nim prawdziwego piękna, ile wewnętrznej poezji!

Krzysztof T. Toeplitz

ALEKSANDER PUSZKIN

Szewc

Raz pewien szewc na widok rzekł obrazu,
Ze złe w nim są namalowane buty.
Gdy malarz błąd poprawił był od razu,
Szewc wciął na kiel i ciągnął pełen buty:

„Twarz też jest trochę krzywa z lewej strony.
A pierś — zbyt naga. To swawoli piód!
Tu malarz przerwał mu zniecierpliwiony:
„Krytykuj, ale nie wznos się nad but!“

Ja też mam kłopot z pewnym przyjacielem;
Na czym ten zna się, choćby mało-wiele,
Nikt nie wie, choć jest mocny w gębie łyk ów,
Lecz wszystkich w okół sądzi nader śmieie!
A gdyby tak powrócił do trzewików?

Tłumaczył Jerzy Pomianowski

To Dawe Esqr.

Czemu ołówek twój przedziwny
Rysuje mój murzyński profil?
Choć wiekom go przekażesz innym,
Sam go wyśwista Mefistofel.

Utrwalaj rysy Oleninej.
W zapale serca i w natchnieniu
Młodości winien być jedynie
I piękna wielbicielem geniusz.

Na Woroncowa

Dawid, król pieśniarz, wzrostem mały,
Goliata zważył ogromnego,
Co wprowadzie też był generałem,
Ale nie głupszym od hrabiego.

Epigramat na śmierć wierszopisa

Nie zazna rajskiej Klet pociechy,
Do grzechów bowiem był on pierwszy.
Niech Bóg zapomni jego grzechy,
Jak świat mu nie pamięta wierszy.

Tłumaczył Seweryn Pollak

E. A. BORATYŃSKI

Epigramat

Damonie! czyń i dalej, coś rozpoczął;
improvizacje w wolnych chwilach kleć,
pisz, gryzmol, kreśl — nie pozwól, by twój geniusz spoczął,
niech stale na usługi ma cię piękna pleć.
Napeln wzdychaniem pierś rozdarta bólem rozstań,
smakowi ni rozwadze nie dawaj upustu;
jako kochankę weź w nagrodę lalkę pustą,
albo rywalem pieska zostań...

*

W próżniactwie i lenistwie płynie jego życie,
ledwie poetą jest, człowiekiem prastym przy tym;
A ty? Tyś szpieg, potwarca, kramarz i stręczyciel.
O! z ciebie człowiek pracowity.

Epigramat historyczny

Chwała ci, nasz Zoilu siwy!
Tyś do złoszczenia się już przywykł:
niegdyś Dmitrijew ciebie gniewał,
potem Żukowski zapalony,
dziś Puszkina. Jakżeś jest ceniony,
jakżeś kochany jest przez nieba!
Trzy pokolenia ulubieńców



Rys. Maja Berezowska

Muz — ciebie krasą swoich wieńców
doprowadzały do wściekłości...
Dbaj o swe zdrowie należycie,
mistrzu, aby, jak pierwsze kry, cię
i trzy następne mogły złościć.

Epigramat

Tyś jest poeta, on poeta...
Lecz między wami i różnicę znaleźć łatwo:
wychodzą wiersze twe w gazetach,
jego — wychodzą w świat ponadto.

Tłumaczył Józef Waczków

Z MIEJSC STOJĄCYCH

Życzliwie

Wiele u nas ostatnio życzliwości. Nie tak dawno Józef Sosnowski w „Życiu Warszawy“ zaproponował mi, abym pisał poprawnie po polsku. Wzruszyła mnie ta życzliwość zupełnie mi nie zranego człowieka. Inni namawiają mnie usilnie, żeby zaprzestać pisania felietonów sportowych. Czuję się świetnie. Jeszcze nigdy nie byłem otoczony taką troskliwością.

Powodowany ufą życzliwością, zdecydowałem wtrącić się do dyskusji na temat literatury sportowej. Dużo się o tej literaturze mówi i pisze. Przyciskani do muru literaci tłumaczą się gestem, zapewniając, że jeszcze trochę, jeszcze odrobina cierpliwości — i już będzie...

Jednakże trudno uwierzyć tym obietnicom. Bo zadania, stawiane literatom, są prawie niewykonalne. Zamawiający domagają się jakiejś specjalnej literatury dla sportowców, literatury, z grubsza biorąc, czysto sportowej.

Przypuszczam, iż jest to wynikiem asocjacji z praktyką konsumowania dla hutników, stoczniovców czy wojskowych, która to praktyka też miewa niekiedy pewne niepowodzenia (przez jakiś czas brakowało na rynku nocników — były tylko dla wojskowych). Jeśli zgodzimy się na wymagania opinii sportowej, to wkrótce literatury sobie poświęconej zażądają kolejarze, pracownicy handlowi, dozorczy nocni, kominiarze, elektrycy, sublokatorzy lub też filateliści. Spowoduje to niezwykle specjalizację w dziedzinie powieściopisarstwa. Bohaterowie tych utworów — handlowcy, będą się martwić z powodu manka, kominiarze przeżyją dotkliwie żle wybudowany komin, a w filatelistach „zajdzie przełom“ z powodu uszkodzenia żąbka przy znaczku.

Dość dawno wszak udowodniono naukowo, że literatura winna zajmować się pełnią życia człowieka, wszystkimi godniejszymi treściami tego życia. Bo, podobno, tylko to interesuje czytelnika, a nie technicyzacja środowiskowa, która tworzy zazwyczaj tło.

Można się spodziewać, że w przyszłych powieściach i nowelach częściej niż teraz znajdziemy wątek sportowy, konflikty ludzi walczących na bieżniach, szeroki oddech stadionów. A to dlatego, iż sport coraz mocniej wciśa się w nasze życie, coraz więcej dostarcza przeżyć humanistycznych.

Nie warto więc domagać się jakiejś oderwanej, wysuszonej z ogólnych treści literatury o sportowcach czy dla sportowców. Tym bardziej, że już dziś w wielu utworach znajdziemy sporo śladów sportu. A nawet niektórzy pisarze znaleźli w tematyce sportowej atmosferę sprzyjającą ich upodobaniom twórczym, że wymienię bardzo dobrą prozę Promińskiego, czy wiersze Aleksandra Rymkiewicza. Gdy się poczyta uważnie literaturę współczesną, to może się nawet okazać, iż treści sportowe zostały lepiej przez pisarzy wykryte niż np. zagadnienia dzisiejszej wsi.

A sportowcy powinni i jeść i czytać to samo, co reszta narodu.

Tadeusz Konwicki